Nr. 10 (1210). Warszawa, 21 Lutego (5 Marca) 1904 r. **Rok XXIV.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 60, rocznie rb. 10.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

W EUROPIE.

Kiedy na Dalekim Wschodzie azyatyckim toczy się wojna na kule działowe i torpedy, równolegle z nią w Europie już nietylko dwa, jak tam, ale wszystkie główne mocarstwa wikłają się coraz bardziej w wojnę na słowa i noty, których podkład jest czysto psychologicznym i zamyka się między dwoma biegunami: chciwości i strachu. Każdy z wojujących tu widzi, że mógłby, a nawet do pewnego stopnia musiał, w razie powodzenia na wojnie poczciwego, odwiecznego typu zarobić, ale każdy przytem się lęka, aby w razie niepowodzenia więcej, niż zarobi, nie stracił. Straszliwa taktyka dzisiejsza zmniejszyła niezmiernie pochopność do wojen, a rozwaga dyktowana przez handel i przemysł, które przy działalności państw i wydobywaniu się z nich woli działania stanowią dziś czynniki pierwszorzędne, ściąga jeszcze i to, co się już przez jarzmo swoistego strachu politycznego przedostało. W zawikłaniu obecnem szale postanowień najmocniej chwieją się pomiędzy Anglią i Francyą, a od tego właśnie, co każda z nich uczyni, zależy głównie przeobrażenie się wojny, cichej, psychologicznej, na zewnątrz niewidzialnej, w materyalną działami już ryczącą i zmiatającą żywoty ludzkie na strawę wiecznie głodne nienasyconemu nigdy duchowi dziejów — egoizmowi ludzkiemu.

Zakłócający wpływ wojny wschodniej na równowagę, a raczej zewnętrzny spokój Zachodu znajduje wielką dla siebie pomoc w wybuchłych już lub czających się od lat wielu endemicznych kwestyach samego kontynentu zachodniego. W stanie wybuchu znajduje się kwestya bałkańska, w stanie utajenia jest kwestyj tyle, że niepodobna ich wszystkich tutaj przypominać. Wystarczy tylko wymówić imię Turcyi, skazanej już w r. 1877 na ustąpienie z Europy, wystarczy wymienić Austryę, z przeproszeniem Węgrów— Austro-Węgry, aby odrazu otrzymać nieskończoną liczbę zagadnień, związanych z upadkiem Osmanów, a cały byt polityczny państwa habsburskiego ująć w trzy kwestye, według trzech jego sąsiedztw wyłaniające się odrębnie, jako rosyjska, niemiecka i włoska. Wszystkie też one jako substraty logiczne, i nawet wręcz psychologiczne, wprowadzające już w grę namiętność — przenikają ową wybuchłą już, od dwu lat wciąż przez powstanie macedońskie podsycaną, kwestyę bałkańską. Zwłaszcza Rosya i Austrya na gruncie Bałkanów już się z sobą zetknęły i wzajemne utrzymywanie się ich w równowadze nie-działania, czyli jak najmniejszego działania, stanowi właśnie przedmiot tej zgodnej energii dyplomatycznej, która od półtora roku wysila się, nie na rozwiązanie, ale na nowe zadzierzgnięcie węzła.

W tej kwestyi bałkańskiej już się objawił wpływ wielkiej wojny wschodniej ociąganiem się Turcyi, nawet chęcią zupełnego odwrotu w sprawie reform przyrzeczonych już uroczyście obu mocarstwom działającym. Sułtan, przyjąwszy już dowódcę żandarmeryi macedońskiej, Giorgisa, z rąk Europy, przedzierzgnął go jednym zamachem w jakiegoś *adlatusa* rzeczywistego dowódcy, Mustafy, którego zamianował wbrew Europie. Porządek dla nowej instytucyi ochronnej, ułożony w Ildiz-kiosku udaremniał wszelką w tej dziedzinie reformę. Otóż mocarstwa działające ułożyły własny swój regulamin i już w bieżącym tygodniu zapowiedziały Turcyi, że ma go przyjąć bez zmiany, oczywiście wraz z owym Giorgisem. Lecz nie w tem tkwią rzeczywiste żywioły kwestyi zdolnej zmateryalizować się, już nie w nacisk dyplomatyczny, ale w tę wymowę, jaką ma i po wieki wieków będzie miała siła. Pytanie zasadnicze formułuje się tak: Co zrobią narodki bałkańskie dla Macedończyków, tj. dla siebie przez Macedończyków; jak głęboko już zabrnęły w powstanie i dalej brnąć postanowiły Bulgarya i Serbia; jak się zachowają Grecya i Rumunia; a ponad tem wszystkiem: o czem już myślą lub o czem pomyśleć będą musiały, każde zosobna, dwa mocarstwa działające, Rosya i Austrya, i trzecie pragnące działać, Włochy, i czwarte wreszcie, Anglia, która dąży do przetopienia kwestyi rosyjsko-austryackiej na Bałkanach w ogólnie-europejską?

Dziennikarstwo popłochem rzucanym pełnemi garściami zwiększa jeszcze ten niepokój, który się wydziela z samej rzeczywistości, szczerej, niefałszowanej, nieudawanej i stanowi jej powagę dziejową. Medyolański *Secolo* puścił w świat latawca, na którym wymalował ani mniej, ani więcej tylko *casum belli* pomiędzy Austryą a Włochami: jeżeli Austrya posunie się, jak przewidywał już traktat berliński z d. 13 lipca 1878 r., *au delà de Mitrovitza*, to Włochy zajmą Durazzo i Velonę, w których niegdyś gospodarowała rzeczpospolita wenecka; a ponieważ Austrya w razie rozpostarcia się pożogi powstańczej na południe od Nowego Bazaru prawdopodobnie będzie musiała, nawet z przypuszczalną zgodą Rosyi, pójść po za Mitrowicę, ma więc już gotową wojnę z Włochami. Wszystko dobrze, syllogizm jest, niema tylko najmniej-

szej, już nie pewności, ale chociażby prostej wskazówki, że Rosya, choćby najbardziej zajęta w Azyi, przymruży oczy w Europie i pozwoli Austryi iść ku morzu Egejskiemu z jednej, ku Adryatykowi z drugiej strony; i nic też zgoła nie upoważnia do posądzania Austryi już w obecnej chwili o nierozumną chęć działania bez Rosyi i wbrew Rosyi. Latawiec medyolański okazał się zwykłą sztuczką dziennikarską z wędką na czytelników i prenumeratorów.

Cesarz Wilhelm nie ma nic do zarobienia na Bałkanach, ale ma dużo do zyskania na Austryi, w porozumieniu najpierw z Rosyą, a potem z Włochami; może też za nieczciwe bismarkowskie meklerstwo zarobić w Azyi Mniejszej kolej Bagdadzką, wyzwalając ją z pod Anglików, ciążących na kapitale i energii niemieckiej, a w Azyi dalekiej — nowe łupy z Chin, nowe Kiaoczay i targowice dla handlu. Wcale nieobojętną jest wiadomość, że p. Bülow ma się zjechać z p. Tittonim, ministrem spraw zagr., w Wenecyi i że cesarz Wilhelm, pragnąc choć na krótko wstąpić do króla Belgów w Brukselli, jednocześnie gotuje sobie przyjemność zobaczenia się z Wiktorem Emanuelem gdzieś na morzu Śródziemnem lub jego wybrzeżach. Tradycyjna skwapliwość Prus do przypochlebienia się Rosyi, raz tylko w r. 1877—8 pogwałcona przez Bismarcka, nadaje i w obecnem zawichrzeniu ton polityce pruskiej. Prusy nie pamiętają już tego, ile zawdzięczają Rosyi z lat 1806—7, 1813—15, ale o tem nie zapomną nigdy, ile wspólnie z nią i dzięki jej zyskały w XVIII w., jak wielkie, olbrzymie plecy znajdowały w niej i dla zewnętrznego swego rozpostarcia i dla wewnętrznego, dynastycznego rozwoju w epoce Świętego Przymierza, w ciężkich latach 1848—9, w strasznym dla Francuzów, a tak radosnym dla nich samych, 1870 roku. Do tego pochlebstwa prócz chciwości napędza politykę pruską i groza potęgi rosyjskiej: czują Prusy, że za lat już niewiele zmierzyć się z nią będą musiały i instynktem samym chciałyby tę chwilę opóźnić, nowemi, wspólnemi zdobyczami odsunąć po za kres czasu, w którym myśl musiałaby już być troską, a państwo bojaźni bożej zmuszone było drżeć przed wyższą od siebie potęgą. Dążeniem cesarza Wilhelma jest rozszerzenie sprawy japońskiej w sprawę chińsko-japońską, w sprawę całej rasy żółtej. W tę stronę ucho i oko publicystyki zwracać się powinno.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

W tym samym dniu, 9 lutego, kiedy flota japońska po nocnym napadzie torpedowców ostrzeliwała okręty i forty Portu Artura, w porcie korejskim Czemulpo zaskoczone przez Japończyków krążownik „Warjag" i kanonierka „Korejec" uległy przeważnej sile i poszły na dno wraz okrętem przewozowym „Sungary." Tego samego dnia, albo jeszcze i wcześniej, zaczęło się wyładowywanie wojsk japońskich na Korei, na zachodniem pomorzu w Czemulpo, na wschodniem w Gensanie. Na pierwsze z nich wysadzono z okrętów do ostatnich dni, według telegramu 20,000; o drugiem doniesienia nie podają liczb, pewnym jest tylko sam fakt wysłania i wysadzenia wojska na ląd. Żywy ruch panuje w Nagaski i Hiroszymie; trzy dywizye przed 10 dniami rozpoczynały przeprawę przez morze. Japończycy w 8—9 tysięcy zajęli już daleko na północ położony Piöng-jang, z liczną artyleryą i na tej pozycyi się oszańcowują; z drugiej strony od Gensanu przez góry również na całej linii obwarowywać się muszą. Na półwyspie Kwantuńskim (zakończenie półwyspu Laotońskiego, na którem warownia Port-Artur) dotychczas nie wysadzili wojska. Niezwykle sroga i burzliwa zima tamuje działanie od morza. Nie sprawdziła się też i pogłoska angielska, odrazu nieprawdopodobna, o wylądowaniu w dalekiej zatoce Possieta, na wschodnio-południowym krańcu Mandżuryi, niedaleko od Władywostoku.

Port Artura usiłowali Japończycy osłabić tak przez napady na okręty eskadry, wyszłe cało z rozprawy d. 9 lutego, jak i przez walkę działową z fortami. Ponawiali ataki w d. 11 t. m., próbując nawet wylądować pod Dalnym, na wschodo-północ od warowni, d. 14 t. m. kiedy jeden z okrętów uszkodzili, i w d. 17 t. m. Dnia 24 t. m. zrobili umyślną wyprawę dla zagrodzenia wązkiego wyjścia z wewnętrznego Portu Artura przez zatopienie starych statków; źle wykonana wyprawa ta zakończyła się niepowodzeniem. Nazajutrz odbyła się walka działowa, w której uczestniczył naprawiony „Nowik" wraz z „Askoldem" i „Bojanem." Według depeszy rosyjskiej trwała ta rozprawa przez godzin 14, a rozciągnęła się aż do zatoki Gołębiej na zachodzie. Nie było z niej żadnego wyniku. Ponowione ostrzeliwanie twierdzy w d. 29 lutego trwało przez dwie godziny; jakie straty obu stronom przyniosło — niewiadomo. Dalsze napady przewidywać potrzeba. Gen. Sessel, chwilowo dowodzący, wydał d. 27 z. m. rozkaz dzienny, stawiający śmierć jako ideał obowiązku dla mężnych. Adm. Aleksiejew około 22 z. m. opuścił już port i przebywa w Mukdenie. Na dowódcę wojsk lądowych przyjeżdża były minister wojny, gen. Kuropatkin, na dowódcę eskadry w P. Artura — wice-admirał Makarow z Kronsztadu. Zapewne już jest na miejscu.

Eskadra z Władywostoku raz tylko wychyliła się na morze; straszna burza i mróz zapędziły kapitana Rajzensztajna, dowódcę 4 krążowników, niewiadomo z jaką ich liczbą, ku północno-wschodniemu pomorzu Korei. Zatopienie statku handlowego przedstawia się jako rezultat tej wycieczki na pełne morze.

Wskutek nieostrożności przy zakładaniu min na wschód od P. Artura, d. 11 z. m. pogrążył się w fale statek minowy „Jenisej." Dowódca zginął dobrowolnie na statku. Nazywał się Stepanow.

Załogi ocalałe d. 9 lutego pod Czemulpo zabrali Francuzi, do Szau-haju, Hong-kongu, Saigonu, część podobno mieli dostać Anglicy na Cejlon. Obecnie znowu zjawia się pogłoska, że jeńcy, wypuszczeni przez Japończyków pod warunkiem nieznajdowania się podczas wojny na północ od Szan-haju, mają być przewiezieni do Rosyi europejskiej.

Poseł Kuryno wyjechał z Petersburga d. 10 z. m., baron Rosen z Tokio d. 12 z. m., tegoż dnia p. Pawłow z Seulu.

Japończycy, zająwszy Koreę militarnie, zajmują i politycznie: wszakże z poręczeniem jej nietykalności państwowej. Datę nowych rządów ustanowić trzeba na 19 b. m. W cztery dni później poseł japoński podpisał z ministrem spraw zagranicznych Korei umowę w formie protokółu o współdziałanie. Już przedtem hr. Lamsdorff rozesłał był protestacyę do wielkich mocarstw.

Francya obwarowuje Saigon — w przewidywaniu Anglików. Zbroi się i Anglia, choć oba mocarstwa miały podobno zawrzeć między sobą jakąś umowę o neutralność. Zbroi się nawet Szwecya i Dania; myślą o wysłaniu okrętów Włochy; daleka nawet Kanada spisuje swe milicye. W Hiszpanii rząd otrzymał już fundusze na zbrojność. I Portugalia nie śpi: wszystko się rusza. Wpływ wojny azyatyckiej na politykę europejską zaznaczać się nie da. Hr. Bülow w komisyi d. 19 b. m. oświadczył, że dopóki Chiny neutralności i spokojności dochowają, dopóty nic się nie zmieni w stosunku mocarstw do nich; w razie zaś przeciwnym najlepiej będzie zająć prowincyę Czyli, tj. cesarską, gdzie Pekin. Dotychczas Chińczycy wysłali tylko pod Mur Chiński i Palisady jakie dziewięć tysięcy wojska — właśnie z obowiązku neutralności.

Zofia Rygier-Nałkowska.

LODOWE POLA.

II.

Pierwszem naturalnie, co czynię w Warszawie, jest pójście do Obojańskiego.

Lubię tego człowieka — a raczej może lubię to wszystko, co mi się z jego pojęciem nieodłącznie wiąże — lubię te wysokie pokoje o surowym rysunku, wyłożone prawie do sufitu czarno oprawnemi, prawidłowo poustawianemi na półkach książkami, lubię wielki, jasno oświetlony stół na środku, zarzucony najnowszemi czasopismami wszelkich języków, lubię stojące wkoło niego ciężkie, wygodne, kryte skórą fotele. I lubię Obojańskiego — tam, na tem tle, ładnego człowieka o siwych włosach i czarnych, młodych oczach — ale nie o wiele więcej, niż jego lokaja, sprytnego i jowialnego Józefa, który lepiej często od Obojańskiego wie, na której półce jakiej książki szukać należy.

Obojański jest dawnym moim profesorem i najwięcej dopomógł mi do mego uświadomienia. Skorzystałam odeń jednak głównie tylko negatywnie, to jest w tem, co krytykował. Przekonania moje i wogóle cała filozofia życiowa jest własną moją zasługą. Obecnie Obojański ciaśniejszy jest ode mnie, ja poszłam dużo dalej. Ale lubi często grać w stosunku do mnie rolę mistrza.

Zwykle przychodzę doń późno wieczorem, ubrana ciemno, utrzymując się w stylu „damy zawoalowanej." Jeżeli pracuje, siadam z nim razem i czytam sobie ciekawe książki. Najczęściej jednak zapijamy czarną kawę i prowadzimy rozmowy — zawsze w stylu poważnym.

Obojański kobiet wogóle nie lubi (jest starym kawalerem). Idea emancypacyi — w zasadzie może nawet trochę słuszna — jest przez same kobiety źle pojęta, skoszlawiona; nie zadawalają się one mianowicie równouprawnieniem ekonomicznem, ale dążą także do tej samej swobody obyczajów, którą posiadają mężczyźni. Ładnieby wtedy świat wyglądał! Co się zaś tyczy dopuszczania kobiet do życia umysłowego, to jest to zupełnie bezpożyteczne, ponieważ mózg kobiety jest niezdolny do ścisłego, logicznego myślenia.

— Ja nie stawiałabym w tej dziedzinie cenzusu płci. Zdaje mi się, że nietylko wśród mężczyzn, ale nawet wśród uczonych też znajdują się ludzie, nieumiejący rozumować logicznie.

— Tak, naturalnie, wszędzie zdarzają się wyjątki — odpowiada poważnie — z właściwą sobie prostolinijnością asocyacyi.

Takim wyjątkiem z pośród kobiet jestem według niego ja. Nie gorszy się nigdy memi późnemi wizytami — dlatego może, że to właśnie do niego przychodzę. Przytem i dla umysłowości mej pełen jest uznania, uważając ją zapewne za swe własne dzieło. Jestem jedyną kobietą, z którą można rozsądnie porozmawiać.

Ja zaś nie dlatego uważam się za mądrą, że potrafię logicznie wyciągać wnioski z przesłanek. Mądrością nazywam ową rzad-

Z Dalekiego Wschodu.

KLUCZ WSCHODU.

„Korea cudny kraj! Żyzność ziemi niesłychana, urodzaje egipskie! Potoki taniego, korejskiego ryżu zalewają nawet ryżową Japonię. Tam rosną nieprzejrzane lasy drogocennych drzew: cedry, cyprysy, jesiony, korkowe dęby... Nieprzebrane bogactwa mineralne czekają niecierpliwie dzielnej ręki Europejczyka... Złota, żelaza i miedzi w bród!.. A jest i węgiel i marmur!.. Ptactwa roje: bażanty, kaczki, gęsi i łabędzie latają nad jasnemi polami; stada jeleni, antylop, kóz i dzików brodzą w górach. Jest to raj myśliwców! Ale trzeba być ostrożnym, gdyż są tam i tygrysy. Gaje myrtowe rzucają swe cienie na ukwiecone łąki, a wszystko kąpie się w słonecznem, łagodnem powietrzu i ciepłych, błękitnych morzach... Potulna ludność chętnie płaci podatki, czci władzę i pracuje napół darmo — z przyzwyczajenia i dla przyjemności... Jest trochę brudna, ale ma piękne, wysmukłe kobiety o stromych piersiach i szerokich biodrach... Przewyższają one urodą wszystkie kobiety Dalekiego Wschodu.“

Oto korejska legenda, opowiadana mi z małemi zmianami przez powołanych i niepowołanych znawców tego kąta świata. Skorom jednak próbował wydobyć z nich jakieś wyraźniejsze szczegóły, zbywali mię mglistymi ogólnikami lub dziwacznemi opowieściami o niebywałych zdarzeniach, z których żadną miarą nie mogłem uklecić ogólnego obrazu. Książki też niewiele pod tym względem mi pomogły, więc płynąłem do Korei przez śliczne, złocisto-modre morze Japońskie, wolny od wszelkich idej podpowiedzianych.

Pamiętałem jedynie, że ze swego położenia geograficznego, z wielkości oraz kształtów Korea najbardziej zbliżoną jest do Włoch *), że jest półwyspem więcej długim niż szerokim, południowo-wschodnim cyplem krańcowym lądu azyatyckiego.

Wreszcie wyłoniły się z liliowych mgieł nagie, skaliste brzegi korejskie... Jakże wydały mi się brzydkie, posępne po uroczych wybrzeżach Japonii. Połamane, pogięte, poszczerbione, uderzały jedynie potwornością swych dziwacznie pokręconych wiszarów.

*) Korea zajmuje 218,192 kilom. kwadr. przestrzeni; ma 900 wiorst długości i 130 szerokości w miejscu najwęższem (od Genzanu do zatoki Korejskiej). Najbardziej wygięty ku północy łuk zatoki Korejskiej sięga 43° 2' szer. pół. (ujście rz. Chun-czunki, dopływu rz. Tumań-hań); najdalej na południe wysunięty przylądek, dochodzi 32° 20' szer. półn.

I. Wybrzeża.

Dnia 10 października 1903 r. o 6-ej rano zarzuciliśmy kotwicę w obszernej, okrągłej zatoce Fuzańskiej, strzeżonej u wejścia przez dużą wyspę, trzy sterczące z wody skały i wojenny statek japoński. Okalają ją szare, brzydkie góry. Jedyną kępą zieleni jest ciemny gaj sosnowy we wklęsłości portu, tuż u błękitnej wody. W gaju, na wzgórku, wznosiło się ciemne „tori,“ wysmukła brama japońska, a dalej po za nią powiewała czerwona chorągiew nad małą świątynią buddyjską.

— Ten gaj zasadzili Japończycy! — powiedział z pewną dumą nasz kapitan, bardzo miły Japończyk.

Spojrzałem przez perspektywę. W gaju rosły stare drzewa, kręte i grube. Ale Fuzan należy do Japonii od 400 lat. Cała Korea została w XVI stuleciu zawojowana przez Japończyków. Po zgonie szioguna Hidejoszi opuścili oni jednakże półwysep, zatrzymawszy Fuzan nazawsze.

Dzielnica japońska w Fuzanie jest niewielka (1,000 domów), ale czysta i dobrze utrzymana. Częściowo skanalizowana, posiada wodociąg, szpital, oddział tokijskiego banku „Daj-ici-ginko,“ izby handlowe, konsulat, pocztę, telegraf podmorski i korejsko-japońską gazetę *Czosen Szimpo*. Kolej łącząca Fuzan z Seulem i przecinająca najludniejsze i najurodzajniejsze prowincye Korei, miała być otwartą w maju roku bieżącego. Mieszkańców liczy Fuzan 6,000, lecz w lecie, w czasie połowu ryb, ilość ich wzrasta do 15,000. Europejczycy mają tu dotychczas 8 domów, w których mieszka 20 białych.

Na wyspie Jeleniej (Cziöl-lion-do), zamykającej wyjście z zatoki, Japończycy urządzili porządne składy węgla, zasilane z Nagaski i Simonoseki. W mieście zbudowali kilka fabryk, wielką garncarnię i młyn do obłuskiwania ryżu. Przystań wyłożona kamieniem ciosanym, posiada ładną, kamienną tamę dla ochrony ładujących się statków, gdyż zatoka Fuzańska pod tym względem jest niedogodna, bo dostęp do niej mają tajfuny i większa fala.

W mieście dużo pięknych sklepów, dużo herbaciarni i restauracyj, jak zawsze w portach. Błądząc po ulicach, natrafiliśmy nawet na małą „Josziwarę,“ dzielnicę wesołych domów, gdzie brzęczały „samiuseny“ i z po za zamkniętych żaluzyj tryskał wesoły śmiech.

Tuż za wzgórkiem, za gajem sosnowym świątyni, kryły się obszerne, okolone murem koszary.

— Jakiej jesteście narodowości i co tu robicie? — spytał nas łamaną angielszczyzną policyant japoński, wynurzając się niespodzianie z zarośli.

Towarzysz mój odpowiedział mu dyplomatycznie, że przybyliśmy na japońskim parowcu towarzystwa „Nippon Jnsen Kajsza.“

Zapisał coś w notatniku, skłonił się i odszedł ku przystani, a myśmy udali się w stronę przeciwną, na dół, przez gaj.

Za koszarami stał piękny, duży budynek; na obszernym, wzniesionym i równym dziedzińcu maszerowały, klekocąc sandałami, kolumny chłopczyków i dziewcząt w ciemnych „kirimono...“ Co jakiś czas, na dany znak, szyki się łamały, dzieci zaczynały z wrzawą ścigać się, bawić, swawolić i grać w piłkę. Nauczyciele i nauczycielki z wdziękiem i widoczną przyjemnością brali udział w tych zabawach, poczem znowu na dany znak wszyscy wracali na miejsca do swych obowiązków. Przez obszerną sień weszliśmy do gmachu. Wszystko uderzało nadzwyczajną schludnością i prostotą. Jeden z nauczycieli wyszedł na nasze spotkanie i, wprowadziwszy nas do małego saloniku, prosił uprzejmie, byśmy zaczekali, aż zawiadomi dyrektora o naszej chęci zwiedzenia zakładu. Salonik służył jednocześnie za gabinet fizyczny: stały tam dobrze zrobione maszyny i globusy, sporo okazów wypchanych ptaków i zwierząt. Po chwili wrócił nauczyciel w towarzystwie młodego Japończyka, który płynnie mówił po angielsku i udaliśmy się przez szerokie, widne korytarze do klas. Wszędzie niezwykła czystość, moc powietrza i słońca. Ławki, katedry, tablice europejskie, na ścianach mapy, wizerunki zwierząt i roślin, portrety znakomitych ludzi i sceny historyczne. W każdej prawie sali na katedrze lub osobnym stoliczku stały kwiaty, jakiś drobiazg artystyczny lub pięknie malowany parawanik, co nadawało sali miły urok domowego zakątka, rozświecało dzieciom wdzięcznym uśmiechem szarą nudę obowiązkowego w klasach pobytu. W jednej z sal trafiliśmy na lekcyę śpiewu; ładnie ubrana nauczycielka, z kwiatkiem we włosach, grała na pokojowych organach i śpiewała półgłosem, a dzieci wtórzyły jej chórem. W innej sali nauczyciel w surducie wykładał geometryę, kreśląc na tablicy figury. Dzieci zdawały się nie zwracać na nas najmniejszej uwagi; jedynie nauczyciele i nauczycielki odpowiadali na nasz ukłon uśmiechem i kiwnięciem głowy.

— Wspaniale!.. — powtarzał mój towa-

---

ką, niespotykaną prawie zdolność rozumienia wszystkiego i niedziwienia się niczemu, zdolność odrzucenia wszelkich uprzedzeń i dogmatów, które stały się dla ludzi kategoryami, otrząśnięcia się z ustalonych form myślenia, które napozór tylko wydają się koniecznemi, zdolność wychodzenia z siebie i przypatrywania się objektywnie sobie i wszystkiemu zzewnątrz.

Siedzę w wysokim stylowym fotelu i rozprawiam z energią. Ale wszelkimi sposobami staram się naprowadzić rozmowę na Rosławskiego.

Czy pan zna Londyn? — pytam.

— Tak, byłem w Londynie, ale dawno już, zaraz po skończeniu uniwersytetu.

— Tam, zdaje się, był Rosławski przez jakieś pół roku?...

— I dotąd jeszcze siedzi.

Robi mi przyjemność wypróbowanie mej siły: na tę wieść ani jednego drgnienia ust, ani lekkiego pociemnienia lub zamglenia złotych oczu... Ale nie udaję nadmiernie wesołej lub obojętnej, bo Obojański jest *malgré tout* za dobrym znawcą ludzkiej duszy.

— Czy tak?.. A mówił mi ktoś, że przyjechał już do Warszawy...

— Nie — spodziewam się go w połowie tego miesiąca. To miły człowiek, prawda? Dobrze nam bywało we trójkę...

— Nie sądzę, by pan chciał przez to powiedzieć, że gorzej nam jest we dwoje — mówię odważnie z uprzejmym uśmiechem.

Pokazuje mi kartę, którą dostał niedawno od Rosławskiego. Jakaś woda, okręty, na brzegu brzydki gmach o nieskończonej ilości okien. Po raz pierwszy widzę jego charakter pisma — zwykłe, pochyłe, niewyraźne litery. Mam ochotę przycisnąć je do ust. Zupełnie zresztą nieusprawiedliwiony sentymentalizm.

Zostaję jeszcze czas jakiś, choć chciałabym uciec do domu i wypłakać się rzewnie, dziecinnie, bez świadków. Obojański częstuje mię jakiemiś nowemi książkami, specyalnie rozprawami z zakresu historyi naturalnej. Oczywiście wykręcam się, jak mogę. Wreszcie ma przemowę na temat, że marnuję swe zdolności, że umysł mój, pozbawiony strawy duchowej, zupełnie wyjałowieje.

— Ależ panie profesorze, ja zupełnie nie jestem stworzona na uczoną — tłomaczę mu właściwie z pewną dumą.

— Trzeba mieć przecież trochę wiary w siebie. Nauka jest właśnie jedynem pani powołaniem, tylko niech pani pracuje koniecznie wiele pracuje. Przy takich zdolnościach itp.

Zabieram książki i wracam do domu. Ciemny, pusty, samotny pokój. Szalenie mi smutno.

*

Zrobiłam dzisiaj głupstwo.

Z mych koleżanek biurowych najbardziej lubię niejaką Nierwiską, bo jest najładniejsza, cała dość konsekwentnie utrzymana w stylu japońskim. Przytem wygląda, jakby się wciąż gięła i łamała pod ciężarem własnych włosów. — Po powrocie z urlopu zauważyłam w niej dużą zmianę: niezwykle posmutniała.

Dziś, wbrew zwyczajowi, wyszłam z nią razem; okazało się, że dość duży kawałek idziemy jedną drogą.

Zaczynam z nią obojętną rozmowę. Nierwiska odpowiada zcicha, krótko, spoglądając na mnie raz poraz wzrokiem lekkiego niedowierzania. Kobiety mają niesłychaną

rzysz, pedagog z zawodu. — Jaka swoboda, prostota i serdeczność!

Nie dziwiło mię ani istnienie w Fuzanie takiej szkoły, ani wyborne jej urządzenia, gdyż w Japonii przeciętnie na 1,500 mieszkańców przypada jedna szkoła ludowa, a na każde 3—4 tysięcy — szkoła wyższego typu. Prócz tego istnieją w Fuzanie japońskie szkoły dla Korejczyków i szkoły korejskie.

Wielu Korejczyków snuło się po ulicach, ale domów ich nie znaleźliśmy w japońskiem mieście; aby je obaczyć, musieliśmy udać się daleko, aż do wioski na podgórze.

Wioska wyglądała zdala, jak kępa rumowisk. Sfora szarych, zajadłych psów i gromadka biało odzianych dzieciaków wyskoczyły na nasze spotkanie. Znikły jednak, gdyśmy się zbliżyli. Z za murów wychyliły się głowy ze zwiniętymi na czubkach kokami. Przez krętą, zaśmieconą uliczkę weszliśmy na jakieś podwórko. Na wąziuchnej werandzie, przed niziutkiemi drzwiami malenkiego domku, złożonego z głazów, siedział na piętach Korejczyk brodaty, poważny, w niepokalanych, białych szatach i włosianym, ażurowym kapeluszu na głowie; przed nim stał mały stoliczek z miseczkami z jadłem; obok klęczała żona, trzymając lubiane pudełko z gotowanym ryżem, a w ciemnym otworze drzwi migała młoda, śniada twarzyczka dziewczęcia z srebrnymi kolczykami w uszach. Korejczyk dziobał spokojnie w miseczkach swemi pałeczkami stołowemi, rzuciwszy na nas ledwie przelotne spojrzenie. Dopiero gdym skierował nań aparat fotograficzny, machnął wzbraniająco ręką. Nie mogliśmy się z nim dogadać. Zresztą okazywał zupełną obojętność na nasze zachowanie się, wyjąwszy manewry z aparatem. Na to pilnie miał oko zwrócone. Żona, która schowała się pospiesznie za drzwi, patrzała na nas stamtąd ciekawie wraz z córką.

Wkoło za grudami bezładnie zwalonych kamieni rozlegały się śmiechy i szepty, tam kryli się ludzie, dzicy i nieufni. Psy wtulone w rozmaite szczeliny, warczały i ujadały wściekle.

Staliśmy bezradni i zarazem niezmiernie zaciekawieni otaczającą nas scenką z kamiennego wieku. Nagle na tle słonecznego błękitu, dalekiego nieba i morza ukazały się dwie ładne Japonki, które niespodzianie weszły lekko na sąsiedni pagórek. Wiotkie, wytworne, w ciemnych, powłóczystych szatach, przepasanych barwnemi „obi,“ z nimbem czerwonych, przejrzystych parasolek wokoło uśmiechniętych twarzy, wyglądały jak wysłanki z innego świata. Prowadziły pieczołowicie za rękę małe, pyzate dziecię, ubrane pstro, jak motyl.

I to był Wschód, lecz jakże odmienny!

Towarzyszył im młody uczeń w pasiastym „kirimonie.“ Umiał trochę po angielsku, więc wysłuchał z niezmierną powagą naszych żądań, rozważył i przetłomaczył. Korejczyk kiwnął głową i wyciągnął rękę. Położyliśmy na niej monetę, poczem krajowiec pozwolił się odfotografować i obejrzeć swój dom. Ciemna, niska buda bez okien, wysłana cienkiemi, słomianemi matami!.. W najdalszym jej rogu, tyłem do nas, stały skulone kobiety z twarzami ukrytemi w dłoniach...

Smutni, rozżaleni wracaliśmy z wycieczki przez senne pola jesienne. Tu i owdzie sunęły wolno jedna za drugą wysokie, białe postacie w ażurowych, włosianych kapelusza i inne, drobniejsze, z różowemi i zielonemi zasłonami, narzuconemi zazdrośnie na głowy i twarze. Na czarnych, skibionych polach półnadzy oracze nawracali leniwo spracowane woły i ciężkie pługi. Dzieci uciekały od nas pospiesznie i kryły się w bruzdach.

Po południu udaliśmy się na północnowschodnią stronę zatoki, gdzie bielała w oddali stacya kolei, budującej się do Seulu. Na drodze, pnącej się stromo w górę, snuły się białe tłumy rosłych Korejczyków, szły kobiety korejskie w szerokich spódnicach, niosąc na głowach kosze z owocami i warzywem, dzbany z wodą, paczki i węzły. Żwawym krokiem przechodzili ciemno ubrani, zawiędli, drobni Japończycy, żołnierze korejscy i japońscy w zupełnie jednakowych mundurach. Od żółtych, nadbrzeżnych urwisk, zrytych jak kretowiska, zlatywały ku morzu wagoniki pełne ziemi i głazów. Na wagonikach siedzieli ogorzali, korejscy kopacze, korejscy kamieniarze ciosali bloki kamienne, korejscy tragarze przetaczali je z miejsca na miejsce. W górze i w dole na gzemsach urwisk, u błękitnej, zasypywanej ziemią przystani, wśród największego mrowia nagich, ogorzałych ciał i białych płócien korejskich stali spokojnie z mapami i narzędziami w ręku niepozorni, japońscy inżynierowie i nadzorcy, kierujący robotami. Senni zazwyczaj i powolni Korejczycy ruszali się żwawo. Wszędzie tętniało życie, rozlegał się huk rozsadzanych opok, wycie i zgrzyt szyn wstrząsanych przelotem wagonów-samotoków, głuchy gwar głosów zmieszanych z jednostajnie melodyjnym gwarem morza.

Nigdzie w Korei już nic widziałem nic podobnego!

Starożytne ruiny korejskiego zamku, strzegące na wysokiej przełęczy drogi Fuzanskiej w głąb lądu, pewnie z równem zdumieniem patrzały na ten obraz i... wspominały dawne czasy.

(C. d. n.

W. Sieroszewski.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

NOWE PRAWO FABRYCZNE.

W powieści Reymonta, osnutej na tle życia fabrycznego w Łodzi, znajdujemy wstrząsający swą grozą opis pożaru fabryki, podczas którego pewna ilość robotników doznała ciężkich uszkodzeń na ciele. Zwłaszcza przerażający jest spokój, z którym ci nieszczęśliwi, złożeni na podłodze dogasającej szopy razem z różnemi, niezdatnemi już do użytku częściami maszyn i tak samo, jak one, obojętnie przez właścicieli fabryki traktowani, znoszą swój los. Ten spokój jest odbiciem panującego w umysłach ofiar przeświadczenia, że ich szczęście życiowe nieodwołalnie i niepowrotnie jest złamane i w razie wyleczenia się z ran czeka ich śmierć głodowa, kij żebraczy lub — w najlepszym razie — szary, gorzki, pełen poniżenia żywot w jakim przytułku dobroczynnym. A przecież los taki nie jest bynajmniej rzadkim wyjątkiem w życiu przeciętnego pracownika; nawet na Zachodzie, gdzie środki ostrożności we wszystkich zawodach stosowane są w daleko szerszych rozmiarach, niż u nas, liczba nieszczęśliwych wypadków rośnie zatrważająco*) pod wpływem wciągania do produkcyi coraz większej ilości robotników niewykwalifikowanych, użycia skomplikowanych i wymagających znacznego natężenia uwagi maszyn, wreszcie wzmagającej się wciąż intensywności pracy, a co za tem idzie — zmęczenia żywego przydatku do maszyny, bez którego ona nie może się obejść.

Nic więc dziwnego, że od chwili, gdy zaczęto zajmować się sprawami społecznemi doby dzisiejszej, wszędzie spotykamy się z głośnem wołaniem o prawodawstwo, któreby ubezpieczało robotnika od skutków nieszczęśliwego wypadku. I wszę-

*) W Niemczech w r. 1886 zameldowano 86,619 wypadków, w 1899 — 440,432; procentowo wyraża się to tak: na 1,000 zatrudnionych uległo nieszczęściu w przemyśle 1886 r. 23,78, 1899 r. — 44,89, na roli 1886 r. — 0,92, 1899 r. — 9,64 („Handwörterbuch der Staatswissenschaften,“ zeszyt 24, str. 264).

---

intuicyę, a ona nie lubi pewnie objektywnego zaciekawienia, nie ma takiej kultury, jak Marta. — Widzę, że za lada brutalniejszem zapytaniem — zamilknie, skurczy się, cofnie wgłąb siebie, zwarzy, jak mimoza. Staję się jeszcze ostrożniejszą. Mówimy o losie kobiet pracujących wogóle.

— W kobietach, zmuszonych samym na siebie zarabiać, wytwarza się jakiś chroniczny, stały smutek, zapewnia mię swym melodyjnym głosem. Choćby nie było żadnej prawdziwej, uchwytnej przyczyny...

— Ma pani słuszność. Wprawdzie są ludzie nierozumiejący, jak można się smucić, gdy się nic złego nie stało. Ale dla nas samo życie jest takiem złem wydarzeniem... wytwarza się w nas filozofia smutku...

— To robi właśnie praca...

— Więc pani nie lubi pracować?

— Owszem. Lubiłabym, ale...

— Co?

— Wogóle zwykle nawet chętnie dosyć pracuję. Tylko teraz jestem taka zdenerwowana, zmęczona...

Stajemy przed bramą domu, w którym mieszka Nierwiska. Pociągam ją w ciemną framugę bramy i, całując silnie jej usta na pożegnanie, pytam cicho.

— Kochacie — prawda?

Cofa się odemnie szybko, przerażona. Ja gładzę kojąco jej ręce.

— Nieszczęśliwie kochacie? Powiedzcie... Szkoda was, moja miła — stara jestem i dobra, może poradzę...

Schyla głowę i mówi z dziecinną, smutną powagą:

— Tak.

— A ten bestya was nic? Nie zna się — wy macie takie słodkie usta...

— Może trochę kocha.. Ale, wie pani,— we mnie ponad wszystkim góruje ambicya. Zupełnie jak jakiś szósty zmysł. Ja przez nią przyjmuję wrażenia, ja ją mam w głowie, w rękach, w nogach — tu, w końcach palców... Ja nie mogę.. Choćby się to wszystko nawet skończyć miało, ja nie ponižę się...

Patrzę na nią uważnie, trochę zdziwiona: tego w niej dawniej nie odgadłam...

— A ja — mówię nagle — ja... gdyby ten, człowiek, który popsuł mi życie, który na pożegnanie nie rzucił mi jednego uśmiechu, jednego ciepłego słowa — gdyby dziś jeszcze skinął tylko na mnie, gdyby znak dał mrugnięciem powieki — poszłabym do ręki jego, jak owca...

Podaję jej rękę po koleżeńsku, z żartobliwą rubasznością — i szybko uciekam z bramy zgnębiona i upokorzona.

I zła teraz jestem. Ona wykazała więcej sprytu ode mnie. Za cenę paru komunałów wydarła mi to bezsensowne wyznanie, z którem nigdy nie zwróciłam się nawet do Marty.

W niej ta wyolbrzymiona ambicya jest trochę manierą, za ładnie mówi o tem. A swoją drogą składa jej w ofierze swoją miłość.

Dziwne one są. Dla Marty tem samem było to opętanie czystości.

Ja zaś w miłości nie miałabym zapór — i dlatego nie mogę jakoś tej miłości spotkać. Bo chyba to wszystko nie jest jeszcze miłością.

* * *

(C. d. n.).

...zie też podobne nawoływanie budziło zacięty opór; najprostszym bowiem sposobem rozstrzygnięcia kwestyi, co robić z robotnikiem skaleczonym przez maszynę, jest — pozostawienie go własnemu losowi, jak to robią bohaterowie Reymonta. Wszelkie inne sposoby mają tę niedogodną stronę, że pociągają za sobą wydobycie z czyjejś kieszeni pieniędzy, więc wszyscy ci, którym grozi, że ich kieszenie będą musiały ucierpieć, sprzeciwili się udzieleniu naraz jakichkolwiek odszkodowań.

Kodeks cywilny na pozór rozstrzygał kwestyę, głosząc, że poszkodowany ma prawo żądać wynagrodzenia od sprawcy nieszczęścia. Ale jak tego sprawcę znaleźć, kiedy jest nim w większej części wypadków ślepo działająca maszyna?

W praktyce tak to wyglądało, że robotnik, by uzyskać odszkodowanie od pracodawcy, musiał mu dowieść, że z jego to winy nastąpił wypadek. Zwykle złożenie takiego dowodu było niewykonalne i zaledwo niewielki procent poszkodowanych dobijał się wynagrodzenia po długich i kosztownych procesach. Ale powoli zaczęło w umysłach ludzkich świtać przekonanie, że ten, który ciągnie zyski z maszyny, powinien za nią odpowiadać, że zatem nie kto inny, tylko pracodawca ma ponosić koszty pokrycia spustoszeń, wyrządzanych przez siły natury, które on zdołał niedoskonale tylko ujarzmić. Złożyły się na to: przedewszystkiem uporczywa agitacya samych poszkodowanych, tj. ludności pracującej, przybierająca nieraz formy groźne dla reszty społeczeństwa, potem chęć zapobieżenia szerzącemu się wśród pracowników rozgoryczeniu i przeświadczeniu, że niczego się od ustroju dzisiejszego spodziewać nie mogą, wreszcie— potrzeby państwa, w interesie którego leżało wpływanie wszelkimi środkami na zmniejszenie się ilości kalek i niedołęgów. W ten sposób po ustawach, mających na celu ochronę pracy kobiet i dzieci oraz ubezpieczenie od chorób, powstały prawa o zabezpieczeniu od wypadków.

Podobne prawo zyskało u nas przed miesiącem (d. 14 stycznia r. b.) moc obowiązującą. Pojawienie się jego wywołało w prasie kuryerkowej, rozpatrującej zjawiska społeczne w najlepszym razie z humorystycznego punktu widzenia, „prawdziwy popłoch." A i dzisiaj jeszcze cała rzesza ekonomistów z Bożej łaski albo ze zrządzenia pp. dyrektorów fabryk krzyczy, że nastał sądny dzień dla przemysłu Królestwa. Żeby się przekonać, czy te skargi zasługują na uwagę, przyjrzymy się naprzód naszemu prawu, potem porównamy je z odpowiedniem prawodawstwem zagranicznem.

Prawo z d. 2 szerwca 1902 r. stosuje się do robotników przemysłu fabrycznego, górniczego i hutniczego (§ 1). Wyłączone są zeń stany kupiecki, rolniczy, przemysł transportowy, służba domowa i wiele innych, drobniejszych zawodów. Jeżeli to jedno wskazuje, że działanie prawa dotyczy tylko części życia społecznego, przytem zwrócimy uwagę, że np. na roli ilość wypadków nieszczęśliwych, jak widzieliśmy z powyższych cyfr, wzrasta szybciej, niż w przemyśle. Dodamy, że liczba wypadków śmiertelnych wykazuje tę samą tendencyę (w Niemczech na tysiąc ubezpieczonych było wypadków śmiertelnych w przemyśle 1886 r. 0,70, 1899 — 0,72; na roli 1888 r. — 0,06, 1899 — 0,23. Dalej, według prawa poszkodowani, po 3 dniach utraty zdolności do pracy, otrzymują zapomogę, która może wynosić najwyżej 50% zarobku, zaś z chwilą stwierdzenia stałej zupełnej lub częściowej niezdolności— rentę. „Ta emerytura nie może być większą od $^2/_3$, czyli $66^2/_3\%$ zarobku, które to *maximum* przyznawane bywa tylko w razie zupełnego niedołęztwa. W razie śmierci robotnika, która nastąpiła nie później, niż w 2 lata po wypadku i była nim spowodowana, dostaje rodzina emeryturę, też niemogącą w sumie przenosić $66^2/_3\%$ zarobku. Rewizya pierwotnego orzeczenia dopuszczalna jest w ciągu 3 lat od przyznania lub odmowy emerytury. Oprócz tego poszkodowany otrzymuje zwrot kosztów leczenia, według opłat, pobieranych przez szpitale, oraz rodzina zmarłego 15—30 rb. na koszta pogrzebu.

Wysokość zarobku obliczana jest w ten sposób, że średnia płaca dzienna mnożona jest przez 260 — przypuszczalną liczbę dni pracy w roku.

Zobaczmy teraz, jak wyglądają podobne instytucye na Zachodzie. Otóż można je podzielić na dwie grupy: kasy wzajemnej pomocy z zasiłkiem rządowym oraz zakłady ubezpieczenia robotników, podobne do tego, co u nas zostało zaprowadzone i tak samo ciągnące swe dochody z opłat pracodawców. Pierwsze mają tę słabą stronę, że część ich wydatków pokrywają sami robotnicy, za to są zawsze przez nich samych zarządzane, z powodu czego administracya jest tam bardzo oszczędna i sprawiedliwa. Takie kasy rozwinęły się przeważnie tam, gdzie ludność oddawna przywykła do rządzenia się samodzielnie, jak w Anglii, Francyi, Belgii, Szwajcaryi. Nie będziemy ich bliżej rozpatrywali, dodamy tylko, że we wszystkich tych krajach już została obok kas wzajemnej pomocy zaprowadzona ochrona od wypadków państwowa, albo też ma to wkrótce nastąpić.

Ważniejszy dla nas jest drugi typ. Jego pierwowzorem jest prawo niemieckie z roku 1884, zaproponowane i wprowadzone w życie przez Bismarcka wtedy, gdy on za pomocą praw wyjątkowych zwalczał demokracyę społeczną. Prawo to obejmuje nietylko przemysł, ale rolnictwo, budowle, żeglugę itd. Dość powiedzieć, że pod jego działaniem znajdowały się w r. 1899 — 18,604,124 osoby, czyli *jedna trzecia* całej ludności Niemiec. Wysokość wynagradzania na pozór jest jednakowa: wynosi ona *minimum* $^2/_3$ zarobku, spadkobiercy otrzymują razem do 60%, na pogrzeb idzie $^1/_{15}$ dochodu rocznego, — *minimum* 50 marek (około 25 rb.). W rzeczywistości jednak różnica jest znaczna. Jako podstawę obrachunku brany jest i ten średni zarobek dzienny, ale mnoży go się na 300, nie na 260, wskutek czego reszta staje się wyższą od naszej o 15%. Dalej, jeżeli poszkodowany znajduje się w stanie niedołęstwa, to otrzymuje on obowiązkowo rentę, równą *całemu zarobkowi*, a nawet przy częściowem kalectwie może uzyskać $^2/_3$, jeżeli bez własnej winy nie może z powodu kalectwa znaleźć pracy. Wskutek tego możemy śmiało powiedzieć, że poszkodowany będzie w wielu wypadkach pobierał *dwa razy większą* rentę w Niemczech, niż u nas, nie biorąc nawet pod uwagę różnicy płac. Jeżeli dodamy, że prawu jest tam poddanych *kilkanaście* razy więcej osób, niż u nas, to zrozumiemy dopiero, jak drobne są ciężary ponoszone przez naszych pracodawców w porównaniu z niemieckimi! A jednak przemysł niemiecki żyje i rozwija się, nawet daleko normalniej i silniej od naszego.

Teraz dopiero warto przystąpić do jeremiad naszych przemysłowców, którym w danym wypadku idzie oczywiście o dobro kraju. P. Al. Rosset, dyrektor zarządu Huty Bankowej, biada w *Kuryerku Warszawskim* (nr. 14) nad zachętą do okaleczenia się umyślnego, którą udzielanie zapomóg będzie stanowiło. Żeby to ocenić, przyjrzyjmy się manipulacyi w wypadku częściowej niezdolności do pracy. Bierze się zarobek roczny, niższy od rzeczywistego, jak widzieliśmy (z powodu przyjęcia tylko 260 dni roboczych w roku), redukuje go się do $^2/_3$, potem ocenia się, jaką część swej siły roboczej robotnik utracił z powodu kalectwa (ta rachuba robiona jest na oko, gdyż żadnego pewnego miernika niema) i odpowiednio dzieli się ten dwa razy zredukowany zarobek. Śmiesznie mała sumka, która stąd wypadnie, ma zachęcać ludzi do okaleczania się!

Tenże pan skarży się, że uwolnić przedsiębiorcę od płacenia renty może tylko dowiedziona robotnikowi zła wola lub „wyjątkowa" nieostrożność. Gdyby to jeszcze była „nieostrożność" poprostu! — woła on — to dałoby się coś zrobić. Zresztą pociesza się tem, że dużo będzie zależało od wykonania prawa, czemu nie można nie przypisać słuszności.

P. Lewandowski, dyr. fabryki Lilpopa, Rau i Löwensteina (ib.), zrażony jest elastycznością pojęcia „stała niezdolność do pracy"; inny pan obawia się, że przy obrażeniach wewnętrznych trzeba będzie polegać na zeznaniach samych robotników. Silnie zaniepokojona jest też *Gazeta Handlowa*, która nawołuje fabrykantów do ubezpieczenia się wzajemnego, a prawie wszyscy godzą się pod tym względem, że odpowiedniejsze byłoby ubezpieczenie państwowe. Oczywiście, gdyż wtedy koszty ponosiłyby nietylko fabrykanci, ale i inne warstwy ludności, nawet te, które nie mają z fabrykami nic wspólnego.

Wszystkie te obawy są płonne: gdy w Zurychu zaprowadzono bardzo daleko idące prawo ochrony robotników, fabrykanci zuryscy grozili emigracyą do sąsiednich kantonów; tak doskonały znawca stosunków fabrycznych, jak Engels, napisał w 1844 r., że zaprowadzenie 10-godzinnego dnia pracy w przemyśle tkackim w Anglii, bez podobnych reform w innych krajach, mogłoby podkopać jego podstawy. Tymczasem od r. 1848 tkacze angielscy pracują tylko 10 godzin, a przemysł tkacki tego kraju jest dziś najsilniejszym w świecie, jak z drugiej strony kanton zuryski — najbardziej przemysłowym w Szwajcaryi. A ustawy z dnia 2 czerwca niepodobna porównywać z prawami Szwajcaryi lub Anglii.

Aleks.

Z nad Warty i Odry.

Sprawozdanie Komisyi kolonizacyjnej. — Projekty nowych praw antipolskich. — Banki ludowe jako instytucye polityczne. — Proces dr. Seydy. — Konserwatyści a prawa Kościoła Powsz.

Z przedłożonego sejmowi pruskiemu ostatniego memoryału Komisyi kolonizacyjnej dowiadujemy się o stanie robót tej instytucyi antipolskiej. Okazuje się, że Komisya zakupiła do końca roku 1903 w Poznańskiem i Prusach Zachodnich 228,553 hektarów, z których zaledwie niecco więcej ponad połowę zdołano skolonizować. Osadzono mianowicie na 116,082 hektarach 7,539 rodzin. Licząc przeciętnie na rodzinę 5 głów, otrzymamy około 40,000 dusz ludności niemieckiej. Ponieważ zaś Komisya kolonizacyjna istnieje i działa od lat 17, przeto instytucya ta pomnaża żywioł niemiecki w dwóch wymienionych prowincyach polskich o 2,350 dusz rocznie. Wobec znacznie intensywniejszego przyrostu naturalnego Polaków, a zwłaszcza wobec silnej emigracyi niemieckiej, głównie z Poznańskiego, jest to wynik poprostu opłakany. Ogólne wydatki Komisyi w ciągu 17 lat istnienia wynoszą 256 milionów marek przy 54 milionach dochodu. W roku ubiegłym wydatki doszły do 47,500,000 marek, dochody zaś spadły do 7 i pół mil. marek. Nic w tem dziwnego. Ceny ziemi poszły w górę wskutek działalności komisyi, aparat, umożliwiający wyrywanie z polskich rąk majątków, kosztuje bardzo drogo, gdyż trzeba utrzymywać szpiegów, agentów, osoby podstawione itd., ażeby uśpić czujność wrogiego społeczeństwa. Szalone sumy pochłaniają

inwestycye w nowo zakładanych koloniach, jeszcze więcej bodaj kosztuje administracya zakupionych majątków, których się nie udaje rozparcelować. Ściąganie bowiem do dzielnic polskich kolonistów niemieckich należy do najtrudniejszych zadań komisyi, to też sprowadza ich ona nietylko z Galicyi, ale nawet z nad Wołgi i z pod Uralu. Niedawno w jednem z miast prowincyonalnych spostrzeżono na ulicach jakieś dziwne typy w olbrzymich, baranich czapach i oryginalnych ubiorach. Okazało się, że są to klienci Komisyi kolonizacyjnej, sprowadzeni aż z za Wołgi.

Złe interesy, robione przez Komisyę kolonizacyjną, popychają rząd do coraz to nowych pomysłów zapewnienia jej powodzenia. Do takich należy projekt zmiany ustawy kolonizacyjnej Prus. Dotychczas wolność osiedlania się i zakładania nowych osad była ograniczona jedynie przepisami budowlano-policyjnymi. Teraz, według nowego projektu, osada może powstać jedynie za każdorazowem pozwoleniem prezesa Komisyi kolonizacyjnej. W ten sposób wszelka działalność parcelacyjna polskich instytucyj byłaby wprost uniemożliwiona.

Nowy projekt staje w rażącej sprzeczności z podstawowemi prawami Rzeszy niemieckiej. Wykracza on bowiem przeciwko artykułowi 3-mu konstytucyi Niemiec, zapewniającemu zupełną wolność kupowania ziemi we wszystkich państwach związkowych nawet tym, którzy nie są poddanymi danego państwa. Dalej wykracza on przeciwko § 1 prawa o wolności przesiedlania się, pozwalającemu każdemu obywatelowi Rzeszy nabywać, gdzie mu się podoba, własność nieruchomą wszelkiego rodzaju. Wreszcie i kodeks cywilny sprzeciwia się temu projektowi. Wobec tego wszystkiego można oczekiwać bardzo ostrej wymiany zdań już nie w sejmie, ale w parlamencie Rzeszy, gdzie projekt spotka się z należną odprawą ze strony lewicy.

Jakkolwiek rząd pruski rozumie coraz lepiej, że „niebezpieczeństwo polskie“ tkwi głównie we wzrastaniu i pogłębianiu się świadomości szerokich mas ludowych, to jednak nie przestaje szykanować i warstwy szlacheckiej. Cechy takiego szykanowania posiada inny projekt, również mający być przedłożonym sejmowi pruskiemu. Dotyczy on reprezentacyi w sejmikach powiatowych. Dotychczas te sejmiki, posiadające zresztą bardzo problematyczne znaczenie i obradujące pod przewodnictwem landratów nad sprawami finansowemi i wewnętrznej administracyi powiatu, składały się z właścicieli wielkich posiadłości ziemskich (dóbr rycerskich), przedstawicieli miast i gmin wiejskich w każdym powiecie. Wielka własność, posiadana przez fiskus, nie miała prawa być reprezentowaną. Nowa ustawa wyjątkowa— tylko dla Poznańskiego — ma nadać fiskusowi to prawo i przyznaje mu nadto tyle głosów przy wyborze posła do sejmu prowincyonalnego, poznańskiego z kuryi wielkiej własności ziemskiej, ile rycerskich majątków w powiecie posiada. Chodzi tu o zmajoryzowanie i niedopuszczenie Polaków do sejmu prowincyonalnego.

Banki ludowe stają się coraz bardziej solą w oku władz pruskich. Świeżo przed izbą karną w Bytomiu odbył się nowy proces na tle prześladowania tych instytucyj. Chodziło o założenie polskiego banku ludowego w Zaborzu. Ponieważ właściciele sal wskutek teroryzmu policyi nie chcieli udzielić lokalu na zebranie założycieli tego banku, przeto musiano się zebrać w prywatnem mieszkaniu adwokata Seydy w Katowicach. O zebraniu tem nie zawiadomiono policyi, gdyż o zebraniu instytucyj niepolitycznych policyi nie potrzeba zawiadamiać. Pokazuje się jednak, że władze pruskie uważają polskie banki ludowe za organizacye polityczne, i dlatego p. Seyda otrzymał mandat karny za niezawiadomienie policyi o zebraniu. Sąd ławniczy, jako pierwsza instancya, zwolnił oskarżonego od kary, nie godząc się na twierdzenie policyi co do politycznego charakteru polskich banków ludowych. Prokurator jednakże zaapelował do izby karnej i proces odbył się ponownie.

Osławiony komisarz policyjny, Maedler, wezwany jako świadek, twierdził, że banki polskie są instytucyami politycznemi i powoływał się w tym względzie na opinię prezydenta regencyi i rządu państwowego. Przytem wyszła na jaw taktyka prowokatorska tego pana, stosowana do banków polskich. Dowiedziawszy się, że jeden z urzędników banku jest jednocześnie członkiem komitetu, zajmującego się rozszerzaniem polskich elementarzy, posłał do niego, do biura bankowego, chłopaka z prośbą o dostarczenie mu takiej książki. Ponieważ rozpowszechnianie elementarzy uważane jest przez władze pruskie za bardzo niebezpieczną działalność polityczną, przeto fakt dania dziecku elementarza *w lokalu banku* miał posłużyć za dowód, że bank jest rozsadnikiem i ogniskiem „propagandy wielkopolskiej.“ Sztuczka się nie udała. Tego dowodu Maedler nie uzyskał, co nie przeszkadzało mu twierdzić z całym naciskiem, że banki polskie są istotnie organizacyami politycznemi. Napróżno p. Seyda protestował przeciwko temu jawnemu łamaniu ustawy, sędziowie przychylili się do żądania prokuratora i skazali oskarżonego na 100 marek kary.

Wyrok ten będzie niewątpliwie precedensem dla dalszych prześladowań polskich organizacyj ekonomicznych, a w pierwszym rzędzie banków ludowych.

Ciekawe jest stanowisko prasy konserwatywnej wobec nowego Koła polskiego tak w parlamencie, jak w sejmie. Dopóki większość tych ciał składała się z konserwatystów, popełniających mnóstwo nietaktów i czynów lekkomyślnych, wszystko było w porządku. Pisma konserwatywne potępiały w sposób jak najbardziej stanowczy wszelkie odezwanie się krytyczne o działalności Koła, jako zamach na nietykalną reprezentacyę narodu. Wszystko, co Koło robiło w parlamencie lub sejmie, było bardzo dobre, a wytykanie mu błędów tak w *Kuryerze Poznańskim*, jak i *Dzienniku* piętnowano, jako zuchwalstwo. Dziś wszystko się zmieniło. Odkąd w Kole poczęły rej wodzić żywioły bardziej demokratyczne i skłonne do energiczniejszych wystąpień, pisma konserwatywne przeszły do opozycyi i stale są niezadowolone z działalności „reprezentacyi narodu.“ Interpelacye młodych posłów są niemądre, ich mowy nietaktowne, wystąpienia Koła w jego nowym składzie przynoszą ujmę honorowi narodowemu — jednem słowem wszystko ulega krytyce bezwzględnej. Poseł Korfanty mówi zanadto ostro, poseł Brejski siedzi za blizko posłów socyalistycznych, wogóle nowe Koło zanadto zerka ku lewicy — takimi zwrotami przepełnione są szpalty pism, które jeszcze tak niedawno uważały Koło za tabu. Organ bisk. Stablewskiego, *Kuryer Poznański*, chcąc ostatecznie zdyskredytować Koło, puścił pogłoskę, że ono poufnie przeprosiło Ballestrema za to, iż nie głosowało na niego przy wyborze prezydenta Izby, lecz oddało białe kartki. Twierdzenie to wywołało szereg protestów i nawet *Dziennik Poznański*, dotrzymujący placu swemu koledze, o ile to dotyczy zohydzenia nowego Koła, uznał je za plotkę.

Do jakiego zaparcia się własnej godności doszedł p. Szmula, poseł-centrowiec i „Polak,“ pokazuje jego zachowywanie się po wyborach. Jak wiadomo, p. Szmula, chociaż kandydował, jako centrowiec, przepadł przy wyborach do sejmu jedynie z tego powodu, że go Niemcy-centrowcy nie chcieli wybrać. Jakkolwiek był oficyalnym kandydatem centrum, to jednak centrowcy-Niemcy wybrali sobie na posła niejakiego Vogta hakatystę. P. Szmula zażądał zadosyćuczynienia za ten despekt i oświadczył, że wystąpi z klubu centrowego w parlamencie, jeśli Vogt zostanie przyjęty do centrowego klubu w sejmie. Centrowcy jednak nic sobie z tego nie robili, przyjęli Vogta — i p. Szmula pozostał członkiem frakcyi centrowej. Pisma z nim sympatyzujące puściły pogłoskę, że on wystąpi z centrum, jeśli tego zażądają jego wyborcy. Tymczasem reprezentanci tych wyborców ostatecznie zerwali z komitetem centrowym, ale p. Szmuli ani do głowy nie przychodzi zwołać zgromadzenia wyborców i spytać ich o zdanie, jeśli już chodzi o formalność, bo zdania świadomych wyborców nie potrzeba wcale zasięgać, gdyż jest ono dla wszystkich, a więc i dla p. Szmuli, jasne.

Pośrednik.

Tow. Zachęty Sztuk Pięknych.

Świeżo przeprowadzone wybory do komitetu Tow. Zachęty dały rezultat zgodny z listą przyjętą przez artystów, można więc uważać, że w tym roku zadzierzgnęło się po raz pierwszy coś w rodzaju względnego porozumienia między komitetem a artystami, których wpływ na wybory w Zachęcie musi nabierać coraz to większej siły. Objaw przeciwny byłby anomalią, a dotychczasowe usiłowania ludzi osobiście zainteresowanych, żeby przedstawić ogółowi, jako szkodliwe dla instytucyi wszelkie zajęcie się artystów wyborami, jest rzeczą tak potwornie śmieszną, że tylko niewyrobiona publiczność mogłaby choć przez chwilę brać to na seryo.

Kto może znać lepiej sprawy i potrzeby artystyczne, jeśli nie artyści? Komu jeśli nie im musi leżyć na sercu rozwój pomyślny Tow. Zachęty? Sprawozdanie roczne wykazuje, że blizko 45 tysięcy rubli przeszło za pośrednictwem kas Towarzystwa do kieszeni artystów, tak ze sprzedaży dzieł, jak wpostaci nagród konkursowych, stypendyów itp. Gdyby nawet znalazł się taki artysta, coby nie rozumiał społecznego znaczenia „Zachęty,“ to własny jego interes nie pozwoliłby mu działać szkodliwie.

Ta więc cicha walka pewnego odłamu komitetu i urabianych przez niego popleczników przeciw wszelkiej idei zrzeszenia się artystów i krytycznego uświadomienia sobie potrzeb „Zachęty“ była wysoce przeciwspołeczna i z pobudek osobistych, drażliwości i ambicyek wypływająca.

Takie stanowisko dotychczasowej większości komitetu było, zdaje się, główną przyczyną, że ogół zebrany na wyborach wysłuchał obojętnie oświadczenia pięciu członków, że nie mogliby przyjąć ponownie mandatów.

Na temże posiedzeniu p. M. w dłuższej mowie poddał bardzo spokojnej i objektywnej krytyce różne sprawy Towarzystwa. Z całego przemówienia biła szczera i dobra wola, choć niejeden szczegół zdradzał brak dokładnych informacyj źródłowych. Nie wszyscy jednak są obowiązani znać różne szczególiki zakulisowe, żeby mieć prawo głos zabierać. Wystarczy do tego przestudyowanie dokumentów oficyalnych. Takim dokumentem było dla p. M. sprawozdanie aż z r. 1902, gdyż komitet z dziwnym uporem rozdaje sprawozdania roczne dopiero na zebraniu, które ma je zatwierdzić. Uniemożliwia więc jakiekolwiek ich rozpatrzenie i krytykę. Ta niewłaściwość jest tak krzyczącą, że p. wiceprezes nawet nie usiłował jej bronić i tylko szukał względnego usprawiedliwienia, przytaczając różne przeszkody. W każdym razie

rzecz dziwna, że te przeszkody rok rocznie powtarzają się i zawsze udaje się je zwalczyć komitetowi *w sam dzień* posiedzenia. Wszak na zamknięcie rachunków i komisyę rewizyjną ma komitet ośm do dziewięciu tygodni. Inne odpowiedzi p. wiceprezesa też były wymijające. Słusznie więc p. M. zaznaczył z całem umiarkowaniem i spokojem, cechującym jego przemówienie, ze wobec tego kwituje z dalszej dyskusyi.

Po ustanowieniu zamiast sześciu członków komitetu liczby dwunastu podział pracy i urzędów musiał również uledz dużym zmianom. Na wiceprezesa nowego komitetu wybrano Edwarda hr. Krasinskiego.

Wszechwiedny *Kuryer Warszawski* tak przedstawia sumę kwalifikacyj nowego wiceprezesa: „Edward hr. Krasinski jest najstarszym synem Józefa hr. Krasińskiego i Heleny z hr. Stadnickich, właścicieli Radziejowic w gub. Warszawskiej. Urodzony w r. 1871 Edward hr. Krasinski, jako człowiek młody, nie miał dotychczas sposobności zaznaczyc się działalnością na widowni publicznej. W rodzicach swych jednak nowy wiceprezes Tow. Zachęty Sztuk Pięknych ma dobry przyklad poświęcenia się sprawom społecznym.“

Odbieramy więc wrażenie, że hr. Kr. może posiada jak najlepsze chęci, ale bez jakiegokolwiek doświadczenia i znajomości potrzeb instytucyi, której ster ujmuje. W najlepszym razie będziemy mieli dłuższy okres przejściowy, w którym nowy wiceprezes zapozna się z obowiązkami, wyrobi sobie własne poglądy, aby później obywać się bez tych radców i doradców, których rzady prawdopodobnie rozpoczną się teraz. Dotychczasowy wiceprezes, dr. Benni, posiadal tę właściwośc, że jasno zdawał sobie sprawę z tego, czego chciał i że potrafił swe zamiary energicznie urzeczywistniać. To zostawiało mało i może nawet zbyt mało pola dla inicyatywy innych członków komitetu. Od dziś musi być wręcz przeciwnie.

Przekonamy się wkrótce, o ile wystarczają do prowadzenia tak poważnej instytucyi: tytuł, niezależnośc materyalna i dobre chęci młodego wieku.

Jeśli nas wieść nie myli, pierwsza uchwała nowego komitetu wypadła bardzo dziwnie i niezgodnie z tradycyą i słusznością. Chcemy mówić o jury, czyli sadzie przyjmującym dzieła sztuki. Urzędownie na zasadzie § 23 jest to obowiązkiem całego komitetu. W rzeczywistosci jednak wybiera się oddzielną komisyę, która w imieniu całego komitetu decyduje samodzielnie. W ten sposób o wartości dzieł sztuki i przyjęciu ich na wystawę decydowali sami artysci, i przez szereg lat nikt nie przypuszczał, żeby do tej komisyi można było wybierac kandydatów z pośród miłośników. Obecnie jednak z pomiędzy sześciu artystów zasiadających w komitecie wybrano tylko jednego czy dwóch, a dwa pozostałe miejsca zajęli poeta i adwokat przysięgły! W kołach artystycznych często stawiano kwestyę, czy słusznem jest, żeby praca wybitnego artysty sądzoną była przez jury artystów często odgrywających bardzo skromniutką rolę w sztuce naszej. W każdym jednak razie byli to artyści — fachowcy. Od dziś w pierwszorzędnej naszej instytucyi artystycznej zaczną o tem rozstrzygać amatorowie.

Nieszczęśliwe są doprawdy te sztuki plastyczne! Wszyscy mają pretensyą znać się na nich i zabierać głos decydujący! Nawet muzyka i sztuka dramatyczna są w pewnym stopniu od tej plagi wolne, cóż dopiero mówić o literaturze lub naukach, gdzie dyletanci i „miłośnicy“ mają prawo sądu tylko w zakresie kółka swych prywatnych znajomych. Sąd, jaki był dotąd, niewątpliwie był zły i zorganizowany niedbale, ale obecny jest w samej zasadzie stokroć gorszy. Jeśli w ogóle sąd artystyczny ma racyą bytu, to tylko jako instytucya bardzo poważnie traktowana. Na wystawach zagranicznych sąd składa się często z czterdziestu pierwszorzędnych artystów; w takiej masie różne osobiste widzimisię pojedyńczych sędziów nie mają wielkiego znaczenia, a mimo to i tam popełniają wiele błędów, stronności itp.

Cóż dopiero mówić o czterech ludziach, z których dwaj mogą być urodzonymi geniuszami do wszystkiego, tylko że nie potrafią ani rzeźbić, ani malować!

Zwolennicy tego nowego dziwactwa gotowi są nam dać sto *niby* silnych argumentów, nie potrafią jednak zaprzeczyć jednemu zasadniczemu, że o rzeczy mogą sądzić tylko tacy, którzy ją gruntownie znają i dali dowody, że są wstanie podobną stworzyć.

Amatorom zostawmy prawo kupowania obrazów, lub pisywania krytyk artystycznych, o ile dana redakcya uzna to za właściwe.

Wybór tego rodzaju jury wywołał naturalnie w kołach artystycznych powszechne zdziwienie, połączone wprost z niedowierzaniem możliwości tej pogłoski.

Teraz możemy tylko czekać cierpliwie na dowody pracy nowego komitetu, życząc mu szczerze osiągnięcia jak najlepszych rezultatów. Będziemy ciekawie śledzili jego usiłowania i gorąco je popierali, o ile będą użyteczne, ale również musimy sobie zastrzedz prawo krytyki takich dziwolągów, jak nowozreformowane jury. Będziemy popierali pracę dla sztuki, a zwalczali wszelkie eksperymenty „paczek,“ „klik,“ „kapliczek“ i „wzajemnej adoracyi.“ Przypuszczamy, że podzielą z nami tę zasadę zarówno publiczność jak i artyści.

Kropka.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Następstwa wojny.

Nieuniknione skutki każdej wojny zaczynają się już objawiać we wszystkich dziedzinach naszego gospodarstwa społecznego. Przemysł osłabł w energii, handel zdrętwiał, kapitał stał się nieufnym. Cała masa obrotów, które dokonywają się siłą kredytu, nagle zmalała do przedsięwzięć bardzo pewnych i pozbawionych ryzyka. Zwłaszcza z wewnętrznych gubernij Cesarstwa nadpływają coraz większe fale weksli zaprotestowanych, co naturalnie podrywa grunt finansom tutejszym. Pisma, wtajemniczone w bieg handlu, donoszą o paru blizkich bankructwach dużego kalibru w Warszawie i przepowiadają szereg niewypłacalności. Podobno Łódź jest również szeroko podminowana. Nie ulega wątpliwości, że powoli stosunki ekonomiczne dopasują się do nowego położenia i pozyskają znowu trwałość, ale chwilowo strach rzeczywisty i urojony ciągle nimi wstrząsa. Dodać przytem należy, że do usprawiedliwionej niewiary i popłochu dołącza swe wpływy nigdy nieusypiająca spekulacya na połów ryb w mętnej wodzie, która najczynniejsza bywa podczas wojny. Ona nie pozwoli nigdy wypadkom wiązać się w tak przejrzysty obraz, ażeby nie mogła go podmalować swoją tendencyą.

Zawsze to samo.

Dobry to był znawca zwyczajów dziennikarskich w Warszawie, który powiedział: „Jeżeli chcesz przyjacielu wszcząć spór o wulkany na księżycu, to wprzódy zrewiduj swoje buty i zobacz, czy w nich niema dziury, bo twój przeciwnik w potrzebie uzna ją za wygasły krater.“

Kuryer Codzienny, który od pewnego czasu używa w polemice *top-house perfumes*, złapany na gorącym uczynku tendencyjnego przemilczania tytułu *Prawdy* nawet wtedy, kiedy z niej korzysta, usiłuje zuchwałemi impertynencyami odciągnąć uwagę od właściwego przedmiotu i zwrócić ją na rzeczy uboczne. Więc, bijąc w bęben na rynku, krzyczy, że paru zdolnych literatów przeniosło swą pracę do innych organów, jak gdyby przemiany w stosunkach i grupowanie się sił literackich nie były zjawiskiem zwyczajnem; wieńczy wawrzynem i wprowadza na Olimp takich wychodźców z *Prawdy*, którzy w swym ułomku autorskim mają zaledwie kilka skromnych artykułów; poczytuje nam za winę ustąpienie Bema, który ostatecznie przestał pisywać do *Prawdy* dlatego, że umarł; wysławia Aleksandra Świętochowskiego za dawnej redakcyi, a nie uważa go nawet za „lepszego“ współpracownika przy obecnej; przypomina, że p. Pietkiewicz przez dwa lata zastępował redaktora *Prawdy*, chociaż o p. P. nie wspominaliśmy i nie myśleli, słowem, ile brudku naciekło w duszę polemisty *Kuryera*, tyle on z niej wylał na nas. I doprawdy rzecz niepojęta, dlaczego skrył jeden jeszcze i to największy nasz grzech, o którym mówiliśmy w poprzednim numerze: nieprzyjęcie artykułu pewnego, dotąd nieznanego mocarza pióra, który nam ofiarował swą potęgę z Paryża, a nieoceniony przez nas należycie, osiadł w *Kuryerze Codziennym* i akurat odtąd wartośc *Prawdy* zaczęła nagle spadać. *Vous voyez de quel bois il se chauffe.* Dlatego to organ, mający znaczenie numeru bibliograficznego, odzywa się lekceważąco o naszem gronie współpracowniczem, do którego obok Aleksandra Świętochowskiego należą pisarze tak poważni, jak: prof. L. Gumplowicz, W. Nałkowski, Stanisław Krzemiński, dr. K. Krauz, dr. Józef Zieliński, Iza Zielińska, Helena Gumplowicz, L. Wasilewski, Go—on, Aleks, K. Kulwieć, K. Jabłczyński, W. Sieroszewski, M. Sokolnicki, Wł. Bukowiński, J. Dąbrowski, A. Śliwiński i wielu in., których tu przecież wszystkich wymieniać nie możemy. *Prawda* zresztą nie jest zajazdem, do którego każdy wejść może, kto pisać umie. Przyznać trzeba, że owa śmiałość wymysłów ma swoją specyalną pobudkę: w redakcyi *Prawdy* pracuje kobieta. Są zuchy, którzy wypisują szumne artykuły o równouprawnieniu płci, ale ile razy zobaczą kobietę na jednakim z sobą poziomie, zachowują się względem niej nietylko brutalnie, ale nawet odważnie. Byle asan nazwie ją „Ksantypa,“ „analfabetką“ itp., bo ona ma w ręku tylko „rózgę nauczycielki.“ Gdyby zamiast tej rózgi ktoś trzymał laskę, zaraz ton polemiczny byłby przyzwoitszy. Pozostałby może tylko nalewkosko-patetyczny gest z wezwaniem: „niech panstwo nie kupują u tego paskidnika, tam w sklepie naprzeciwko jest doskonały towar.“

Praca dla ubogich.

W ostatnich czasach czynna dobroć serc ludzkich gorliwiej krzątać się zaczęła. Powstało parę instytucyj, które oparły działalność swoją na bardziej racyonalnych, ludzkich podstawach i od razu przekonały się, że na tej drodze skutecznie coś robić mogą. Oddział np. W. T. D. Wyszukiwania pracy dla ubogich taki ma już plon po 40-dniowem zaledwie istnieniu: od 10-go stycznia do 19 lutego zgłosiło się do biura 3,750 osób szukających pracy, z tych umieszczono tylko 517, choć zaofiarowań było dla 1,215. Robotników zgłosiło się 1208, dano zajęcie 219, choć miejsc było dla 329. Chłopców zgłosiło się 239, umieszczono 46, choć potrzebowano 84. Kandydatów na służbę domową przedstawiło się 915, z tych zatrudniono tylko 102 osoby pomimo, że było 293 miejsc. Na służbę na wieś zapisa-

ło się 186 osób, wyjechało 33 tylko, choć zapotrzebowań było 129; na wieś bowiem wyjeżdżają niechętnie, jakkolwiek tam brak ludzi i warunki życia są wskutek tego łatwiejsze. Rzemieślników, poszukujących pracy, zgłosiło się 396 — miejsca otrzymało zaledwie 14, choć było ich 33. Pracownic różnych zawodów, od nauczycielki do praczki, zgłosiło się kilkaset z tych naturalnie zaledwie mała cząstka mogła otrzymać zajęcie. Technicy, handlowcy, nauczyciele — wszyscy słowem, bez różnicy zajęć okazali gotowość skorzystania z usług biura. Niemożność zaspokojenia wszystkich żądań tłomaczy ono koniecznością ostrożnego i zaufania ogółu na zawód nienarażającego postępowania, tak względem jednej jak drugiej strony — pracodawcy jak pracobiorcy, słusznie bowiem rozumuje, że na tej tylko podstawie oprzeć musi całą przyszłość swej działalności.

Odczyty w Muzeum.

Zdawało się, że minęło bezpowrotnie tak niegdyś szeroko upowszechnione upodobanie publiczności naszej do tego rodzaju rozrywek umysłowych. Tymczasem tegoroczne odczyty w Muzeum kłam zadały temu przekonaniu, gromadząc licznie słuchaczy za każdym razem. Czy bogata i nader urozmaicona treść tych wykładów stała się magnesem przyciągającym dla starszych i dla młodszych, tłumnie zasiadających na ławkach muzealnych? czy może jakiś inny powód wygnał chłód i pustkę, stale dotąd na takich zebraniach goszczące? W każdym razie z przyjemnością notujemy tę zmianę, z tem większą przyjemnością, że wśród słuchaczów nasali przeważa młodzież płci obojej.

Z Delegacyi kobiet.

Na ostatniem zebraniu delegacyi kobiet, prelegentka p. Kuczalska-Reinszmitowa zupełnie słusznie położyła nacisk na to, że pomimo niekorzystnych warunków, kobiety nasze mogą wiele zdziałać w granicach tych istniejących organizacyj, które nietylko nie usuwają kobiet ze swego grona, lecz przeciwnie garną je do siebie, jak np. Tow. hygieniczne. Prelekcya zawierała sporo praktycznych wskazówek, co do pracy kobiet wogóle na gruncie warszawskim. Należy przytem zwrócić uwagę na trudne położenie, w jakiem się nieraz prezydyum Delegacyi znajduje. Do najcięższych jego zadań należy bez zaprzeczenia wywołanie po każdem przemowieniu dyskusyi, któraby dała pojęcie o wrażeniu, jakie wywody z katedry uczyniły na słuchaczkach. Z wyjątkiem kilku pań, przyzwyczajonych do zabierania głosu, reszta obecnych zachowuje przez cały czas najgłębsze milczenie, nie mogąc się zdobyć na odwagę wypowiedzenia kilku słów. Należy jednak przypuszczać, że systematyczne usiłowania prezydyum Delegacyi doprowadzą ostatecznie do ośmielenia lękliwych, do wyrobienia znaczniejszego zastępu mówiących, co bezwarunkowo wyjdzie na pożytek każdej sprawie poruszonej na zebraniu. Tembardziej, że jak obecnie, zawierają one wiele pytań zasadniczych, od których rozstrzygnięcia zależy dalsza działalność Delegacyi. Na ostatniem zebraniu np. w ciągu dyskusyi postawiła p. Męczkowska na porządku dziennym następujące pytanie: Czy uzyskanie najdalej idących i najradykalniejszych reform społecznych rozwiąże kwestyę kobiecą, czyli też pozostawi pewne jej strony niezałatwione? Pytanie to skierowane zostało w stronę młodszych uczestniczek Delegacyi i one mają na nie dać umotywowaną odpowiedź. Potrzeba na to pewnego czasu oraz pomocy ze strony prezydyum, które też ofiarowało się rozesłać szereg pytań mających rzecz należycie rozświetlić.

Prócz tego pp. Walewska i Centnerszwerowa jeszcze raz poruszyły sprawę udziału naszych kobiet w ruchu współdzielczym; na razie chodziło jedynie o zachęcenie do zapisywania się na uczestniczki umyślnego zebrania, które Delegacya ma odbyć w tym przedmiocie.

BADANIA NAUKOWE.

ZŁUDZENIE.

(Dokończenie).

Zamiast przesadnego uogólnienia „Wszystko jest złudzeniem," wypowiadamy również przesadne przeciwienstwo: „Złudzenie jest wszystkiem."

Stwierdzamy przedewszystkiem, że ludzie radykalnie wyleczeni ze złudzeń, wewnętrznie wykolejeni, zblazowani, należą do istot najbardziej godnych litości. Człowieka „desillusioné" mijają wszyscy zdrowi na mocy instynktu samozachowawczego — a czynią słusznie, bo zblazowanie działa depresyjnie. Człowiek bez złudzeń jest jak ów Piotr Schlemiel z baśni, który zgubił swój własny cień.

Za najsilniejszy argument w obronie złudzenia poczytują, że jest ono *biologicznie* pożyteczne, jako pobudka, utrzymująca i potęgująca poczucie gatunku. Złudzenia spełniają niezwykle ważne funkcye, jako podpory ludzkiej szczęśliwości. Potęgują one siły życiowe, ukrzepiają natury upadające na duchu, podnoszą ochotę do przedsięwzięć — są niby winem szampańskiem duszy. A jeśli pesymiści wszystkich czasów i stopni walczą pod hasłem: „Utrzymanie życia jest pustem złudzeniem," to przeciwstawiam temu hasłu zdanie: „Złudzenie służy do utrzymania życia."

Ponieważ złudzenia są „spostrzeżeniami — jak to niedawno określono—których przedmiot nie jest tak utworzony, jak go w istocie spostrzegamy," tworzymy je dlatego, że świadomość stanu nierzeczywistego, a jednak takiego, którego życzymy sobie, za którym tęsknimy, którego spodziewamy się, sprawia nam rozkosz. Złudzenia są zatem najważniejszem i najobfitszem źródłem rozkoszy. Biologowie, a zwłaszcza zwolennicy Spencera, uczą nas, że wszystkie popędy, sprawiające rozkosz, wszystkie radosne afekta, wszystkie wyobrażenia i działania, którym towarzyszą uczucia pozytywne, działają ożywczo, ponieważ napinają naszą energię i potęgują poczucie żywotności. Doświadczenia za pomocą sphygmografu (notującego uderzenie pulsów), pneumatografu (notującego sposób oddychania) i plethysmografu (notującego pojemność ciała) wykazały, że uczucie rozkoszy przejawia się następująco: puls mocniej bije, oddychanie pogłębia się, organy krwionośne na powierzchni naszego ciała rozszerzają się. Zupełnie przeciwne zjawiska pojawiają się tam, gdzie brak wszelkiej rozkoszy. Idziemy dalej. Człowiek nietylko *powinien* otaczać się złudzeniami, o ile sprawiają mu one rozkosz i tem samem wzmacniają zdrowie, rześkość, równowagę — on *musi* je mieć. Podług psychologicznego odkrycia, które zawdzięczamy Kantowi i Schillerowi, popęd do zabawy należy obok formalnego i treściwego do zasadniczych pierwiastków natury ludzkiej. „Der Mensch ist da wahrhaft Mensch, wo er spielt" — powiada Schiller. A czyż zabawa nie jest stwarzaniem złudzeń?

Na tym kantowsko-schillerowskim popędzie do zabaw oparł ostatnio swe wywody prof. uniw. w Tübingen, Konrad Lange, które określić się dają w zdaniu: „Istotą rozkoszy estetycznej jest świadome łudzenie samego siebie." Tę śmiałą teoryę rozprowadził Lange szeroko w niedawno wydanem dziele o istocie sztuki („Das Wesen der Kunst." 2 Bande, 1901).

Złudzenie nie jest podług niego złudzeniem rzeczywistem, tylko zabawą estetyczną, świadomem łudzeniem samego siebie, „eine durchschaute Verwechslung." Istotą sztuki jest, że stwarza złudzenie." Jest więc tylko jedną z grup zabawowych, które Lange nazywa „Illusionsspiele." Zabawa i sztuka jest dla człowieka odszkodowaniem rzeczywistości (Ersatz der Wirklichkeit). A odszkodowanie stwarza sobie człowiek wskutek instynktowej potrzeby wówczas, gdy życie odmówiło mu lub zostawiło przerwę w wyobrażeniach, uczuciach i myślach, które należą przecież do jego istoty.

Występując w obronie złudzenia, musimy jednak odgraniczyć ściśle jego psychologiczną konieczność od niepotrzebnych wybujałości. Złudzenia nie są celem, lecz pobudką, nie ostatecznym końcem, lecz motywem działania. W gospodarstwie naszego życia wewnętrznego, w ekonomii naszego myślenia — jak Ernest Mach określa psychologiczne znaczenie prawa o „najmniejszem wydatkowaniu sił" — złudzenia stanowią element pobudzający i ożywczy. Gdzie nam grozi niebezpieczeństwo porażki w walce z „bête humaine," tam nas złudzenia zachęcają do czynu. Są one napojem ożywczym w puszczy bytu, balsamem kojącym przykrości życia.

Z gruntu fałszywem jest dyskredytowanie i poniżanie wartości ideałów, denuncyując je jako złudzenia lub „kłamstwa konwencyonalne" człowieka kulturalnego. Choćby się nawet motywacya naszych religijnych, społecznych lub estetycznych ideałów okazała w poszczególnych punktach fałszywą i logicznie nieuzasadnioną, to mimo to nie doznają one uszczerbku. Czem instynkt dla zwierzęcia, tem są ideały dla człowieka: doświadczeniem wieków i generacyj nagromadzone i atawistycznie przeszczepione pokłady. Podobnie jak instynkta nie są niczem innem, tylko stwardniałymi, zautomatyzowanymi popędami z czasów dawnych — tak ideały logicznem doświadczeniem zbiorowem na temat tego, co być *powinno*, choćby to nawet nigdy i nigdzie nie było. Jak instynkta wywodzą się z popędów, a pojęcia z wrażeń — tak ideały pochodzą ze złudzeń, są wszystkie skarbonką, w której ludzkość przechowuje dziedzictwo poprzednich pokoleń.

Jeżeli wieczne ideały ludzkości określimy nordauowskiem wyrażeniem „kłamstwa konwencyonalne," albo nietzscheańskim aforyzmem „wymysły o czystości ducha i dobra" i poczytywać je będziemy za „objawy upadku," „typy zwyrodnienia," „filozofię dekadentyzmu" lub „platonizm dla ludu" — to wdamy się w taką walkę z wiatrakami, jak walka moralistów przeciw instynktom, nominalistów przeciw pojęciom.

W takiem oświetleniu złudzenie nie jest fikcyą, chimerą zwodniczą i beztreściwą, lecz pięknym pozorem, pożyteczną pobudką naszej wyobraźni, funkcyą wzmagającą energię, potęgującą życie, podziemnie działającą podnietą w celu rozwoju typu człowieka, jak mówi Schopenhauer, chytrym wynalazkiem rozumu (List der Vernunft), środkiem leczniczym, którym się przyroda posługuje wobec przykrości, w jakie obfituje życie.

Natura, świat, każde pojęcie ogólne nie jest — jak tego chcą pesymiści — złudzeniem, lecz przeciwnie: złudzenie jest darem łaski przyrody. Jest ono amuletem przeciw ponurej myśli, religią wobec melancholii, formułą czarodziejską przeciw wywoływaniu dyabłów w postaci ludzkiej. Logika oczywista dąży do poniżenia wartości i znaczenia złudzenia; pęd ku życiu

jednakowoż daje im niezaprzeczalne prawa. Doświadczenie zewnętrzne natrząsa się z niego, wewnętrzne [illegible] się przed niem w pokorze.

Dla ludzi duchowo zdrowych złudzenie jest nektarem. Kto się nie może niem rozkoszować — przepadł na zawsze.

Na podstawie tego, cośmy wprzódy powiedzieli, możemy z doświadczeń biologicznych i psychologicznych wyciągnąć wniosek, że człowiek ogołocony ze złudzeń jest istotą na świecie najnieszczęśliwszą. Kto w środowisku swej żywotności, w swej zdolności łudzenia się, doznał porażki, należy do wydziedziczonych, wykolejonych. Dekadenci nie dlatego nie posiadają złudzeń, że są chorymi, lecz przeciwnie: są chorymi dlatego, że nie posiadają złudzeń. Dlatego poeci, myśliciele, artyści, zdobywający siłą swej fantazyi coraz to nowe dla nas złudzenia, są wielkimi dobroczyńcami ludzkości, zaś filozofowie pesymizmu — grabarzami postępu kulturalnego.

Grzechem pierwotnym, *peccatum naturale* ludzkości, było i jest lenistwo. A istotą kultury—praca. Kultura nie jest, jak tego Hartmann chce, najwyższem złudzeniem, lecz przeciwnie: złudzenia są podściełiskiem postępu ludzkości od barbarzyństwa po szczyty cywilizacyjne, są wielkim biczem, który ludzkość wzwyż pędzi: od zwierzęcości do człowieczeństwa, od dzikości do barbarzyństwa, od barbarzyństwa do cywilizacyi, od cywilizacyi do kultury. Bo bez złudzeń nie mielibyśmy ideałów, a bez ideałów nie warto byłoby żyć.

Bez ideałów [illegible] niema kultury. Kogo nic więcej zagrzać i rozentuzyazmować nie może, kto wszystko uważa za „sen i szał," ten jest chory duchem; zastosować doń można słowa poety: lepiej byłoby, gdyby się wcale nie był narodził, bo żyjąc, leży już w grobie...

LITERATURA I SZTUKA.

Literatura szwedzka.

August Strindberg: *W samotności.*

Samotność — mędrców mistrzyni!

Nie ulega wątpliwości, że umysł ludzki nigdy nie jest zdolny do tak górnych wzlotów, jak w chwilach samotności, gdy duch jego, oderwany od świata zewnętrznego sięga najgłębszych, najwyższych zagadnień.

Dla tej to rozkoszy pragną i pożądają samotności umysły wyższe.

Ale z drugiej strony człowiek w artyście i myślicielu domaga się współżycia z ludźmi, umysł nie może bezustannie ulegać silnemu napięciu (jak mówi Strindberg: w samotności mózg przeładowuje się niekiedy i grozi eksplozyą) musi odpocząć koniecznie: budzi się tęsknota do towarzystwa, potrzeba wypowiedzenia chociażby słów obojętnych.

Taki proces duchowy przedstawia August Strindberg w ostatnim utworze p. t. *W samotności.*

Wszelkie stosunki ludzkie wymagają pewnych wzajemnych ofiar, nie można tylko brać, trzeba też umieć i dawać.

W prawdzie autor powiada: „Nigdy tyranem nie byłem, chciałem tylko sam usunąć się z pod tyranii, a tego nie mogą znieść tyrani. Przeciwnie, zawsze byłem wrogiem tyranii, a tego nie mogą przebaczyć tyrani. Zawsze chciałem iść wyżej, w górę, a więc miałem większe prawa od tych, którzy chcieli mnie ściągnąć w dół — dlatego pozostałem sam." Tak zawsze przemawia duch przejęty swoją wyższością, strzegący swego wewnętrznego *ja*, jak świętości — takie wrażenie wywołuje w czytelniku autor omawianego pamiętnika, a wiele przemawia za tem, że jest to sam Strindberg.

Pamiętnik ten jest właściwie okresem jednego stanu duszy, któryby można nazwać chorobą samotności. Zaczyna się bowiem, gdy autor widocznie doprowadzony do ostateczności, stęskniony do ludzi, odszukuje swych dawnych znajomych w nadziei, że wróci do stosunków, porzuconych przed kilku laty. Spotyka go smutne rozczarowanie. Kto go nie doznał? Kto nie przebolał? Kto nie czuł zimna rozchodzącego się po ciele, gdy „nastąpiła pierwsza pauza, potem więcej takich, a nareszcie zapanowało przykre milczenie"? — „Każdy — mówi autor — pozawiązywał nowe stosunki, obce interesy dzieliły ich teraz, a że koniecznie trzeba było coś mówić, wygłaszano frazesy: widać to było po oczach, które nie szły za słowami, po uśmiechu, który nie odpowiadał spojrzeniu."

Pierwszą przykrość osamotnienia określa Strindberg, jako uczucie pustki, która się wytwarza dokoła nas, próżni domagającej się wypełnienia. Początkowo zdawało mu się, że przez zerwanie z ludźmi stracił na sile, ale „jednocześnie — pisze — moja poczęło skupiać się w sobie; wszystko, co przeczytam, zostaje strawione i przez moją duszę przyjęte, jako pokarm. Wszystko, co widziałem i słyszałem, wszystko, co się działo w domu, na ulicy i w naturze z dodatkiem tego, co odczuwałem, zacząłem przenosić do mojej pracy i uświadamiać sobie, jak mój kapitał się rozrasta, a studya, robione w samotności, większej nabierają wartości niż te, które prowadziłem w życiu towarzyskiem."

Takie chwile podniecają go do wyrażenia swych rozmyślań w formie wiązanej — niestety, ani wiersz p. t. *Ahasiver*, będący obrazem tułaczego życia samego poety, a jeszcze mniej *Wilki wyją*, skojarzenie wycia wilków z pożarem miasta, nie oddały piękności pomysłu, która prawdopodobnie odznaczały się w chwili poczęcia.

Potrzeba towarzystwa wytwarza w samotniku zdolność zawierania „znajomości bezosobistych," jak on to nazywa. Nic nie uchodzi jego uwagi, wszystko nabiera znaczenia, staje mu się niemal drogiem. Dla uniknięcia własnych cierpień, usunął się od świata, a tymczasem widzi, że nauczył się brać na siebie cudze bóle.

To mu nasuwa myśl następującą: „Samotność jest oprzędzaniem się w nić własnej duszy, przepoczwarzeniem i oczekiwaniem przemiany, która nadejść musi. Tymczasem żyję się wypadkami własnymi a przez telepatyę życiem drugich."

Tęsknota do ludzi wygania go z domu: chce słyszeć rozmowę, mieć wrażenie, że każdej chwili mógłby wziąć w niej udział; samo zetknięcie się łokciami w tłoku ulicznym sprawia mu przyjemność.

Po takiej przechadzce wraca ożywiony do domu, ale wieczór mimo to jest nieznośnie długi. „Inni ludzie po całodziennej pracy mogą znaleźć rozrywkę w rozmowie — ja tego nie mogę. Mnie otacza milczenie. Probuję czytać, nie mogę. Więc przechadzam się po pokoju i spoglądam na zegarek, czy dziesiąta blizko... nadchodzi wreszcie!" — woła z westchnieniem ulgi.

Wiosna wnosi nieco radości, po której następuje straszna pustka letnia, gdy znajomi jego na wieś wyjeżdżają. „Dziś odczuwam brak tych wszystkich świateł w mieszkaniach, które mnie dawniej drażniły; nawet pies, który pobudzał mię do nocnych rozmyślań lub do zdrowego gniewu, pozostawił po sobie pustkę... Niedzielna cisza panuje przez cały tydzień, dzwoni mi wciąż w uszach, czuję własne myśli, jak wypowiedziane słowa, mam wrażenie pozostawania w telepatycznym związku z nieobecnymi krewnymi, przyjaciółmi, wrogami.

Jesień przynosi znów pewną zmianę na lepsze, sam widok znajomych twarzy uspakaja, ale nadchodzi zima, a z nią wzmaga się tęsknota do ludzi. „Tęsknię — mówi Strindberg — ale w samotności skóra moja tak wydelikatniała, jak gdyby dusza nie miała żadnej osłony i tak nawykłem rządzić się dowolnie swemi myślami i uczuciem, że wprost nie mogę znieść zetknięcia się z drugim człowiekiem."

A jednak przemogła potrzeba towarzystwa ludzkiego. Z dawnym znajomym, muzykiem, spędza odtąd wieczory bezpośrednio lub pośrednio, gdy artysta bawi u swej narzeczonej, która mieszka naprzeciwko z małym sierotą, siostrzeńcem. Patrząc w oświetlone okna mieszkania, bierze autor niejako udział w cichem życiu rodzinnem i z uznaniem mówi o sobie, że doszedł do tego, iż bez cienia zazdrości patrzeć może na szczęście innych.

Z kart niewielkiego tego pamiętnika wyziera harda, wyniosła dusza człowieka, który nie znosi żadnych więzów, dla którego samo spojrzenie w oczy wydaje się zamachem na jego swobodę, chęcią wtargnięcia do jego duszy: „ja chcę obojętnych stosunków lub raczej wrogich, gdyż przyjaciel zawsze wywiera na mnie pewien wpływ, a tego sobie nie życzę!"

Podobne zdanie wypowiedział drugi genialny samotnik Północy, Henryk Ibsen. Ten ostatni jednak niejednokrotnie wyraża tęsknotę do posiadania przynajmniej jednej duszy, którąby mu była zupełnie oddaną: np. książę Skule w *Królewskich pretendentach* wypowiada życzenie odnalezienia uwielbiającego go i ufającego mu bez zastrzeżeń naturalnego syna. Gabryel Borkman pragnie również obudzić w synu wiarę w siebie i z nim rozpocząć nowe życie. Strindberg na samo przypuszczenie, że syn go odwiedzi, doznaje przestrachu, a chociaż potem rodzą się w nim inne myśli, ani na mgnienie oka jednak nie odzywa się w nim uczucie ojcowskie. Bezwzględnie szczery nie usiłuje on nawet maskować się. Chętnie zdobyłby się na ofiarę pieniężną, lecz lęka się, że syn właśnie będzie żądał innej: będzie się domagał praw do jego osoby. „Będzie wymagał odemnie domu, którego nie posiadam, przyjaciół, których mi brak, stosunków, będzie chciał wyzyskać moje nazwisko dla zdobycia sobie kredytu."

Na ogół w pracy tej znać pewne uspokojenie, stępienie ostrza zjadliwej krytyki; namiętna np. gorycz przeciw kobietom, tym wiecznym dłużniczkom mężczyzn, ustąpiła pewnej sprawiedliwości. Jeżeli nawet w małżeństwie widzi przeszkodę do serdeczniejszych stosunków między mężczyznami, nie przypisuje już wyłącznie winy tego kobiecie, lecz godzi się z faktem, „że małżeństwo to *pas de deux*," gdzie każde robi pewną ofiarę ze swej wolności.

Dawnego bezlitosnego, brutalnego Strindberga, przypominają jednak słowa, któremi charakteryzuje młodzież, według utartego mniemania zbyt nieopatrzną, uczuciową. On zupełnie co innego w niej widzi: „Młodzieniec dojrzewający jest brzydki nieproporcyonalnością rysów, przykra mieszaniną nadczłowieka, jako pozostałości z dzieciństwa i budzącego się zwierzęcia ze śladami popędów i namiętności, lęku przed nieznaną przyszłością, żalu za tem, czego już popróbował i tą ustawiczną, nieznającą miary krytyką wszystkiego, nienawiścią do tego, co dotąd stało ponad nim i ciężyło mu, a więc nienawiścią do starszych, lepsze stanowisko mających, z niewiarą w życie, które świeżo zmieniło dziecię niewinne w drapieżnego człowieka."

Autor przyznaje się otwarcie, że to jest własny jego wizerunek z czasów młodości. Kilka wierszy dalej czytamy: „Doświadczenie pouczyło mię, że jakim się człowiek urodzi, takim mniej więcej pozostaje przez całe życie. Wszyscy, na których patrzyłem

od dzieciństwa, byli z małemi zmianami tacy sami w pięćdziesiątym roku ich życia. Wielu pokonało w sobie część rażących właściwości, nienadających się do życia w społeczeństwie, niektórzy ukryli je pod cienkim pokostem, ale w gruncie pozostali takimi samymi. U wyjątkowych tylko osobników pewne właściwości lub rysy charakteru rozrosły się — jedne w cnoty, drugie w występki itd.“

Nie upoważnił nas autor do stosowania powyższej, ogólnej teoryi do niego samego, ale nasuwa się to mimowoli każdemu, kto zna życie Strindberga i tę ostatnią pracę, niby spowiedź.

W samotności — to książka niezmiernie ciekawa, obfitująca w głębokie refleksye, oryginalne myśli, ale i bardzo smutna, jak smutne bywa życie człowieka, który pragnie miłości od drugich, a sam jej dać nie umie.

Józefa Klemensiewiczowa.

M. K. Michajłowski.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Ogromne przestrzenie, niedogodne komunikacye, brak bibliotek, księ[illegible] sprawiły, że wszelkie miesięczniki stały się w Rosyi ulubioną formą wydawniczą. Odegrały one niezmiernie doniosłą rolę w rozwoju umysłowości rosyjskiej.

„Przybycie miesięcznika zawsze działa uszlachetniająco... Człowiek otrząsa się z pleśni!“ „Gdy się czyta dobry miesięcznik, ma się wrażenie rozmowy z porządnym człowiekiem!“ — mówili mi nieraz ludzie, zamieszkujący zapadłe kąty. Wywiązywała się więc pewna zażyłość, pewien ciepły, serdeczny stosunek między czytelnikami i miesięcznikiem, od którego żądano i odbierano nietylko strawę umysłową, lecz i szereg krzepiących wzruszeń uczuciowych. I stało się z czasem, że każdy taki wielki miesięcznik został szańcem warownym, twierdzą obronną rozmaitych dążeń i przekonań. Na czoło ich wysunęli się publicyści i krytycy literaccy, którzy stworzyli osobną, mało znaną gdzieindziej, odmianę piśmiennictwa: rodzaj nieustannego „przeglądu życia“ w oświetleniu umiłowanej doktryny filozoficznej. Wypadek, dzieło sztuki, przedstawienie teatralne, odkrycie naukowe — służyły im jedynie za okna, przez które oni rzucali snopy światła na dalekie, niedostępne na razie widnokręgi. Była to ciężka, niewdzięczna praca „wiecznych latarników,“ wymagająca wszechstronnej wiedzy, wybitnego talentu, odczucia przyszłości, żywego dowcipu i mocy charakteru.

Literatura rosyjska ma w tej gałęzi szereg sławnych, nieskazitelnych imion, jak: Bieliński, Czernyszewski, Dobrolubow, Pisarew i zmarły obecnie M. K. Michajłowski. Wszyscy oni pisali dużo, lecz nic trwałego nie zostało w ich puściznie. Wiedzieli o tem, lecz „ból serca“ nie pozwolił żadnemu stać się ani znawcą szczególnym, ani uczonym badaczem. A przecie Bieliński dał jedno z najgłębszych określeń sztuki, a M. K. Michajłowski bezwarunkowo najlepsze określenie postępu, jakie ma wiedza (art. „Co to jest postęp“). W pracach tych publicystów skrzą się na każdym kroku niezwykłe myśli, genialne przypuszczenia, nieoczekiwane odkrycia, niezbite a nowe pewniki, lecz są to melodye urywane, krótkie, raczej przenikliwe krzyki orłów, budzących ludzkie sumienia. Działalność ich miała cechy przedewszystkiem wychowawcze, rozbrzmiewała tysiącem nieśmiertelnych dźwięków w sercach wzruszonych czytelników...

Wiem, że zmarły pisarz uważałby powyższą charakterystykę za najwyższe dla siebie uznanie. Dodam tylko, że powierzchownie szorstki i oschły, był w rzeczywistości dobrym, niezmiernie uczynnym i życzliwym dla bliźnich człowiekiem.

Z jego zgonem ludzkość zubożała o jedną duszę szlachetną, mężną i silną.

Wacław Sieroszewski.

Notatki literackie i artystyczne.

POEZYE. Seweryn Goszczyński: „Pisma,“ wydanie kompletne, uzupełnione pismami pośmiertnemi pod redakcyą Z. Wasilewskiego tom I i II z portretem autora, Lwów, nakł. Tow. Wydawniczego.

— Lucyan Rydel: „Bajka o Kasi i królewiczu,“ ozdobił St. Dębicki, nakł. Tow. Wyd., Lwów.

— Ada Negri: „Niedole, Burze,“ przekł. M. Konopnickiej, wydanie drugie, nakładem Gebethnera i Wolffa.

— „Wybór poezyj“ Młodej Polski,“ w układzie W. Feldmana, wyd. drugie, nakł ks. Friedleina.

— Józef Krajewski: „Człowiek,“ nakł. druk. „Bristol,“ Warszawa.

— Henryk Salz: „Krzyk niewolnika,“ Kraków, ks. Friedleina.

— K. J. Jasiński. „Stara gwardya,“ szkice rycerskie, nakł. Gebethnera.

POWIEŚCI I DRAMATY. M. Gorkij: „Zniechęcenie do świata,“ „Chan i jego syn,“ przekł. St. Miłkowskiego, nakł. ks. Friedleina.

— S. Żeromski: „Popioły,“ powieść z końca XVIII i początku XIX stulecia, 3 tomy, nakł. Gebethnera i Wolffa.

— W. S. Reymont: „Chłopi,“ powieść współczesna część I: Jesień, II: Zima, nakł. Gebethnera i Wolffa.

— Piotr Altenberg: „Jak ja to widzę,“ tłom. Aniela R. z przypiskami W. Reymonta, nakł. J. Fiszera, Warszawa.

— B. Prus: „Ze wspomnień cyklisty,“ nakł. Gebet. i Wolffa.

— A. Gruszecki: „Pruski huzar,“ powieść współczesna, nakł. Gebethnera i Wolffa.

— Witold Żukowski: „Złoto i błoto,“ dramat w 5-u akt. Petersburg, drukarnia J. A. Mansfeda.

DZIEŁA NAUKOWE. L. Gumplowicz: „Psychologia dziejopisarstwa,“ odbitka z „Krytyki,“ nakł. Re[illegible]

— Witold Schreiber: „Twórcy bogów.“ nakł. księg. pol. B. Połonieckiego, Lwów.

— Dr. Z. Bruner: „Zasady chemii,“ nakł. księg. Friedleina.

— H. A. Lorentz: „Poglądy i teorye Fi[illegible] czesnej“ (ruchy widoczne i niewidoczne). przekł. dr. St. Tołłoczko, nakł. księg. Wende.

— Józef Słowikowski: „Znaczenie figur Kopernika i Kepplera w przyrodzie, nauce i technice,“ skład główny E. Wende i Ska.

— Kazimierz Mokłowski. „Sztuka ludowa w Polsce,“ część I. Dzieje mieszkań ludowych, cz. II. Zabytki sztuki ludowej, nakł. H. Altenberga. Lwów.

— A. Karbowiak: „Dzieje wychowania i szkół w Polsce,“ tom II wieki średnie okres trzeci od 1364 do 1432 r., Petersburg K. Grendeszyński.

SPRAWY EKONOMICZNE

Robotnicy rolni

W POŁUDNIOWEJ FRANCYI.

W ciągu ostatnich paru miesięcy Francya południowa była widownią zatargów pomiędzy robotnikami rolnymi a pracodawcami. Zaczęły się one w pierwszej połowie grudnia w małej wiosce Nézignan-l'Evêque, w departamencie Hérault, a wkrótce rozszerzyły się z niesłychaną siłą i szybkością na 50 sąsiednich [illegible] w departamentach Hérault, Ande i [illegible]renées-Orientales, obejmując przes[illegible] o promieniu conajmniej 100 kilome[illegible]. Początkowo ześrodkowały się koło Beziers i Narbonne, obecnie zaś sięgają po Perpignan i Montpellier.

Zatargi owe wybuchły w całej ni[illegible] Langwedocyi w miejscowościach pos[illegible]conych prawie wyłącznie uprawie [illegible] jak np. departament Herault, który do[illegible]cza aż 6 milionów hektolitrów rocznie [illegible] 30 do 40 milionów ogólnej produkcyi [illegible]nej we Francyi).

Na razie prasa burżuazyjna starała [illegible] pokryć milczeniem owo wrzenie [illegible] wiejskiej rzeszy roboczej w połu[illegible] Francyi, później zaś, gdy tajenie pra[illegible] stało się już niemożliwem, zaczęła dzwo[illegible] na alarm i domagać się od rządu surowy[illegible] środków przeciwdziałania. Nacyonal[illegible] zaatakowali nawet o to w parlamen[illegible] prezesa ministrów Combes'a, lecz ten pr[illegible]konał Izbę, że tylko w wyobraźni [illegible]rzy dzieją się jakieś gwałty na połud[illegible], że owe bezrobocia niczem nie wykroc[illegible] po za prawo o związkach zawodowy[illegible] z 1884 r., słowem, że mogą niejako s[illegible] za wzór dla zatargów w innych gałęzi[illegible] przemysłu.

Pomimo optymistycznego zapatryw[illegible] się Combes'a, ostatnie strajki rolne u[illegible] można za pierwsze poważne ruchy tego [illegible]dzaju; strajki bowiem drwali z przed [illegible] laty w departamencie Cher miały char[illegible]ter zwykłych tego rodzaju zatargów [illegible] przemyśle. Wszystkie obecnie zakończ[illegible] się większą lub mniejszą wygraną [illegible]ły wiele cech podobieństwa z epoką [illegible] między 1789 a 1793 r.

Jak wszędzie, tak i we Francyi od [illegible]na już znikł serdeczny stosunek pomię[illegible] właścicielami a robotnikami rolnymi.

W południowej Francyi, w miejsco[illegible]ściach zajętych uprawą winnic, jest [illegible] kategoryj robotników: służący, najmow[illegible] rocznie lub miesięcznie, robotnicy p[illegible] od dnia, obcokrajowcy (Włosi lub Hiszp[illegible]nie) i wreszcie najmici wzywani do po[illegible]cy na czas winobrania.

Właściwi służący (domestiques) [illegible] mieszkanie i pożywienie u właściciela [illegible]nicy. Pochodzą oni zwykle z sąsiedni[illegible] okolic górskich. Ci zwłaszcza, którzy [illegible] najmowani na miesiąc, t. zw. „mesadi[illegible] stanowią armię rezerwową, którą w ka[illegible] chwili można odprawić i która bez op[illegible] i sarkania gotowa zawsze powrócić na [illegible] śnieżne góry, gdzie pędzi nędzny [illegible]. Tak się stało w r. 1900—1901, kiedy [illegible] wina spadła niesłychanie, podobnież [illegible] 1903, gdy po kwietniowych przymrozka[illegible] zmarniała większa część winogron. Naje[illegible]nicy roczni są nieco pewniejsi swego [illegible]sca i służą zwykle za woźniców lub [illegible]czów. Wszyscy oni niemal są wytrzy[illegible] na trud i łatwiej znoszą ciężką, długą pr[illegible]cę, niż miejscowi, dzienni robotnicy z [illegible]lin. W zasadzie powinni oni pracowa[illegible] najwyżej od 6-ej rano do 6-ej wieczór, [illegible] nader często długość dnia roboczego p[illegible]chodzi te granice.

Płaca różni się stosownie do pory i [illegible] miejscowości: w lecie zarabiają przecię[illegible] o 10 fr. więcej na miesiąc, niż w [illegible] w okolicach Narbonne mężczyźni pobi[illegible]ją miesięcznie od 25 do 33 fr. (nie li[illegible] mieszkania i życia), a koło Montpellier [illegible] fr.; kobiety dostają od 18 do 22 fr. [illegible] wyjątkowo 25 fr. Mieszkanie służby [illegible] nadzwyczaj nędzne: sypia ona bez [illegible] na słomie przykrytej płótnem, nieza[illegible] miewa kołdrę na swój użytek; na złożen[illegible] zaś rzeczy służy zwykle deska przybita d[illegible] ściany.

Żywność służby w ostatnich dziesiątk[illegible] lat znacznie się polepszyła, ale nie jes[illegible] dostateczną, ani stosownie przyrządz[illegible] głównie z przyczyny, że zajmuje [illegible] zazwyczaj na swe ryzyko żona karbow[illegible]

lub nawet rządcy. Obliczając ogółem pensye i wydatki na żywność, uważać można, iż przeciętny zarobek dzienny wynosi 2 fr. 40 c. do 2 fr. 90 c., co jest sumą nadzwyczaj nizką dla robotnika obarczonego rodziną. Służba wynajmowana miesięcznie lub rocznie różni się pod każdym niemal względem od robotników miejscowych, wynajmowanych dziennie. Wychowani w ciemnocie i nędzy górale znoszą o wiele lepiej wymówki, zarzuty, obelgi i ucisk rządcy lub właściciela, są często ślepem narzędziem przy wyborach; ociężali, nieświadomi, ograniczeni nie czują w sobie tego ducha niezależności, tej żądzy wyzwolenia, jaka przejawia się u robotników południowych. Należy jednak przyznać, że w ostatnich czasach i tam rzucone ziarna wydały plon obfity.

Bez porównania zręczniejszymi, żwawszymi w pracy, energiczniejszymi i barwniej niezależnymi są robotnicy miejscowi, wynajmowani i płatni od dnia. Wszyscy oni żywią się na swój koszt i mieszkają w sąsiednich, lecz często odległych wioskach. Niektórzy pełnią obowiązki służby folwarcznej, pobierając przeciętnie 1,000 fr. rocznie, znaczna jednak większość zajmuje się wyłącznie uprawą winnic: sadzeniem, [illegible] szczepieniem itp. Jako wykwalifikowani hodowcy wina, mają oni pierwszeństwo przed innymi, to też gdy nawet chwilowo niema pracy około winnic, zatrzymywani są do innej roboty: naprawy dróg, budynków itp.

Rzecz charakterystyczna, że od dawna — blizko od pół wieku — dzień pracy robotników, zajętych przy uprawie winnic, jest względnie bardzo krótki, w wielu miejscowościach nie przewyższa 6 godzin. Pochodzi to stąd, że dawniej robotnicy owi posiadali po większej części kawałek gruntu, musieli przeto mieć czas wolny na jego uprawę, mieszkali przytem w znacznej odległości, nieraz 5 i 6 kilometrów, a prócz tego [illegible] zawsze brak. Obecnie dzień [illegible] w niektórych miejscowościach starają się przedłużyć do 7—9 godzin. Miejscowi robotnicy, zarówno mężczyźni, jak kobiety, nie pracują od sztuki, lecz od dnia. Płaca ich, jak dawniej tak i teraz, ulega wielu zmianom, zależnie od urodzaju winnic, cen wina itp. Na początku XIX wieku była nader nizką. Po 1860 r., dzięki rozwojowi plantacyj i urodzajowi, podskoczyła znacznie, tak że wielu robotników mogło podnieść skalę swego życia lub nabyć grunt choćby na wypłatę.

Pomiędzy 1874 a 1875 r. straszna klęska w postaci filoksery sprowadziła obniżenie płacy o dwie trzecie, mnóstwo robotników zostało bez pracy, a inni otrzymali najwyżej 2 fr. dziennie. W kilka lat po zaprowadzeniu winnic na nowo zarobki się podniosły i doszły do 2 fr. 50 c., 3 fr. dziennie przeciętnie i wyjątkowo podczas winobrania 4 fr. mężczyźni i 2 fr. kobiety). W 1900 r., kiedy cena wina spadła nadzwyczajnie z powodu wielkiej jego obfitości, płaca zarobkowa znów się obniżyła, a na wiosnę roku zeszłego, po klęsce wywołanej przymrozkami, spadła jeszcze niżej, przeciętnie o 50 centimów dziennie. W końcu więc roku zeszłego bardzo mało robotników, zajętych przy hodowli wina, mogło oznaczyć roczny zarobek na 800 fr., większość miała 650, 550, a nawet 450 fr. (licząc 250 do 260 dni roboczych). Jeśli nawet dodamy zarobek żony 275 fr. rocznie, [illegible] że robotnikowi, obarczonemu rodziną, niepodobna wprost istnieć bez zaciągania długów, zapisywania się na listy towarzystwa dobroczynności lub zebraków, jak również bez odmawiania sobie i swoim najpierwszych potrzeb.

Pośród robotników dziennych znaczny jest procent małych właścicieli. Czyż jednak dola ich lepszą jest od doli bezrolnych?... Ci, co mają więcej, niż 3 hektary winnic i mogą utrzymać choćby jedną sztukę inwentarza do orania, tych położenie jest znośne, jeśli nie mają długów, ale takich zaliczyć można do wyjątków. Kupowali bowiem grunt na wypłatę, nie przewidując filoksery, nieurodzaju, przymrozków itp. Większość ich jednak posiada mniej, niż dwa hektary ziemi strasznie obdłużonej; tylko złudzenie własności przykuwa ich do miejsca, nie pozwalając szukać pracy dalej, a tymczasem rodzina przymiera z nędzy i głodu. Słowem, drobni właściciele stają się stopniowo zwykłymi najmitami i muszą iść z nimi ręka w rękę.

W ostatnich latach wielu robotników cudzoziemców — Hiszpanów i Włochów — uciekając z ojczyzny przed nędzą, zaległo południową Francyę, a zwłaszcza okolice poświęcone hodowli wina. Zgłodniali i nieuświadomieni obniżali płacę Francuzom, przyjmowali pracę na akord, nie wahali się przed najcięższą, którą choć w części można było zastąpić maszyną. Na razie przeto robotnicy francuscy przyjęli ich nieprzychylnie, ale już obecnie stosunek staje się coraz więcej braterski od chwili, gdy cudzoziemcy zaczęli wstępować do syndykatów i rozumieć solidarność robotniczą.

Co do najemników, branych tylko na czas winobrania, trwającego od 18 do 25 dni, to ci są względnie nieźle płatni, 4 fr. pobierają przeciętnie noszący winogrona, a 2 fr. obcinający (nie licząc wieczorem zupy i wina). Gdy jednak weźmie się pod uwagę, że podróż kosztuje ich czasem do 15 franków, że żywią się bardzo źle, sypiają na słomie, że pracują nader intensywnie, że zmuszeni są szukać odpoczynku w szynkach i winiarniach — to zrozumiałem będzie, dlaczego tak mało powraca do wioski rodzinnej z pieniędzmi, a tak wielu — z nadwyrężonem zdrowiem.

Wobec opłakanych warunków, w jakich pozostają robotnicy rolni w południowej Francyi, wobec coraz większego obniżania ich płacy od 1900 r., pomimo podwyższenia ceny wina aż o 25 fr. na hektolitrze w roku zeszłym, musiały wybuchnąć strajki i ogarnąć wielkie kręgi. Do powodzenia ich przyczyniły się giełdy pracy, związki zawodowe oraz kongresy czysto robotnicze, jakie odbyły się w latach ostatnich w Montpellier i Béziers. Pierwsze związki zawodowe w południowej Francyi zostały założone pomiędzy 1891 a 1894 r. przez stronnictwo guesdystów, z podkładem politycznym i służyły celom agitacyi, lecz dlatego właśnie wegetowały i do r. 1900 nie miały żadnego znaczenia. Dopiero po kongresie w Montpellier 1900 r., kiedy stanęły na gruncie czysto społeczno-ekonomicznym, zaczęły się one w Langwedocyi rozwijać silnie i stawać czynnikiem organizacyi i uświadomienia rzeszy robotniczej. Najwięcej odpornym względem syndykatów żywiołem była naturalnie służba dworska i folwarczna, później cudzoziemcy, — w ostatnich jednak czasach jedni i drudzy wstąpili do nich po części świadomie, a po części wciągnięci siłą wypadków. Do rozbudzenia robotników rolnych w południowej Francyi przyczynił się wielce kongres robotników rolnych w Béziers w sierpniu roku zeszłego, na nim bowiem rozpatrywano najżywotniejsze kwestye i uchwalono założenie związku robotników rolnych i innych zawodów pokrewnych w południowej Francyi (Fédération des travailleurs agricoles et parties similaires de la région du Midi). Dzięki swej solidarności i energii robotnicy zdołali niemal wszędzie uzyskać podniesienie płacy. Do pewnego więc stopnia prezes ministrów Combes miał racyę powiedzieć, że strajki rolne w południowej Francyi służyć powinny za wzór innym robotnikom.

Dr. Józef Zieliński.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Z rozporządzenia władzy wyższej wszyscy, którzy byli kiedykolwiek karani za krwawe rozprawy, lub wogóle brali w nich udział, pociągani są obecnie do fotografii. Po nadto sporządzona jest dokładna ich lista. Kopie tych list rozesłane być mają wszystkim administratorom i rządcom domów z poleceniem, ażeby wskazanym w nich osobom nie wynajmowali mieszkań. W razie jednobrzmiących nazwisk i — jakichkolwiek wątpliwości co do osoby, rozstrzygać rzecz będzie fotografia. Recydywiści, czyli karani już kiedykolwiek za rozprawy nożowe wysłani będą w drodze administracyjnej na Syberyę.

— Rzemieślnicy cechowi zamierzają utworzyć w okolicach Warszawy kolonię letnią dla swych pracowników.

— Wydano rozporządzenie zabraniające urzędnikom obchodów jubileuszowych, z wyjątkiem pięćdziesięcioletnich, oraz przyjmowania podarunków od podwładnych.

— Wszystkim stowarzyszeniom sportowym polecono, aby wydatkowały z funduszów jedynie na podstawie zatwierdzonych budżetów oraz prowadziły rachunki według ustanowionych przepisów.

— Ministeryum spraw wewnętrznych odmówiło zatwierdzenia ustawy projektowanemu stowarzyszeniu pracownic handlowych w Warszawie.

— Zatwierdzone zostało Towarzystwo wzajemnej pomocy Litwinów w Wilnie. Ma ono na celu poprawę bytu materyalnego i warunków moralnych swych członków.

— Feliks Sobański, obywatel ziemski z gubernii Podolskiej, ofiarował 10,000 rb. Tow. Czerwonego Krzyża.

— Listy adresowane do osób, znajdujących się na terenie wojny, wysyła poczta bezpłatnie.

— W pow. Tomskim i Błagowieszczeńsku ogłoszono stan ochrony wzmocnionej.

— *Diło* ruskie donosi: „Do starostwa śniatyńskiego nadeszło oświadczenie prawie całej wsi Załucze, iż przechodzi na prawosławie. Ma to być następstwem niezadowolenia gminy z powodu nominacyi parochem ks. Sali. Wszelkie usiłowania władzy świeckiej i duchownej, aby go wieś przyjęła, okazały się daremnemi. Załucze leży w pobliżu granicy bukowińskiej, a więc liczy na łatwość zaspokojenia swych potrzeb religijnych w najbliższej parochii prawosławnej."

— Z powodu odbywających się w Odesie manifestacyj w dni codzienne, naczelnik miasta ogłosił w *Grad. Odesk. Wied.* „Proszę wszystkich mieszkańców powrócić do zwykłych, codziennych zajęć i zadowolić się już dokonanemi manifestacyami patryotycznemi, które dostatecznie udowodniły, jak silną jest miłość ojczyzny w mieszkańcach Odesy."

— *Now. Wr.* donosi, że Tatarzy z Jałty emigrują do Turcyi.

— Ks. Schmidt wytoczył redakcyi *Górnoślązaka* proces za artykuł szykanujący księdza z powodu odprawienia mszy żałobnej zamiast zwykłej, zakupionej przez towarzystwo kobiet polskich. Powiedziano w tym artykule, że „ks. Schmidt, intonując „requiescat in pace," sądził, że pogrzebie sprawę polską na Śląsku." Pociągnięci do odpowiedzialności redaktor gazety, Kowalczyk, skazany został na 6 miesięcy więzienia, dr. Hyll — przeprosił obrażonego, zecer Ziętek uniewinniony.

Szkoły i wychowanie. Zarząd kolei Nadwiślańskich zamierzał otworzyć w r. b. w Radomiu i Lublinie szkoły dwuklasowe dla dzieci urzędników i oficyalistów. Skutkiem jednakże odmowy władz wyższych projekt nie doszedł do skutku, natomiast udzielono zasiłków pieniężnych dwom szkołom miejskim w Radomiu i jednej w Lublinie, w których kształcą się dzieci służby kolejowej.

— Uniwersytet kijowski postanowił, aby studentom IV kursu medycyny, którzy udają się na wojnę, zaliczyć czas pobytu na niej za 8-my semestr. Zarazem uchwalono egzaminy ostateczne V kursu medycyny odbyć w r. b. już w maju, nie zaś w październiku, jak zwykle, i zastęp świeżo wypuszczonych lekarzy wysłać zaraz na Daleki Wschód.

Wiadomości naukowe. Nie udał się konkurs Towarzystwa farmaceutycznego, ogłoszony na projekty ksiąg handlowych, aptekarskich, żadnej pracy nie przyznano nagrody.

— W parlamencie szwedzkim odrzucono wniosek uwolnienia fundacyi Nobla od podatku spadkowego, wskutek czego suma, przypadająca na nagrody zmniejszy się o czwartą część.

— Zapowiedziany na lipiec r. b. zjazd lekarzy i przyrodników polskich we Lwowie został odroczony, z powodu wyjazdu wielu lekarzy na wojnę.

Literatura i prasa. W Petersburgu ma wychodzić dziennik p. t. *Narodnyj Listok*, który ogłaszać będzie nazwiska zabitych i ranionych w obecnej wojnie.

— Gazeta syonistyczna *Razswiet* donosi, że istniejąca w Płocku biblioteka-czytelnia żydowska, otrzymująca 15 czasopism judaistycznych w językach: rosyjskim, niemieckim, hebrajskim i żargonie, z początkiem roku bieżącego usunęła z czytelni polskie pismo asymilacyjne *Izraelitę*, a na jego miejsce zaprenumerowała nowe gazety syonistyczne: *Der Tog* i *Hador*. Czytelnią zarządzają — podług gazety — „osoby kompetentne z młodzieży postępowej." Korespondent tejże gazety z powodu wybrania jednego zaledwie „asymilatora" do zarządu gminy żydowskiej w Płocku, pisze: „Osoba ta została wybrana ku wielkiemu zmartwieniu narodowo myślących warstw żydowskich w Płocku."

— W Dortmundzie wychodzić będzie polska *Gazeta ludowa*, z kierunkiem radykalnym.

Ze sztuki. Na tegorocznych wyborach Tow. Zachęty Sztuk Pięknych powołani zostali do komitetu, z grona artystów pp.: A. Kędzierski, S. Dąbrowski, St. Jagmin, F. Ejsmond, J. Ryszkiewicz i K. Broniewski; z grona zaś miłośników pp.: J. Henrich, A. Goebel, B. Wydżga, Z. Przesmycki, J. Herman i Edward hr. Krasiński.

— Warsz. Tow. artystyczne ogłosiło konkurs na rzeźby, mające zdobić fasadę gmachu Stowarzyszenia techników w Warszawie. Nagrody wynosić będą 300 rb. — za grupy, 200 rb. — za 2 figury, nadto autor prac nagrodzonych otrzyma 600 rb. za wykonanie modelu grupy w gipsie, a 400 rb. za 2 figury. Termin do d. 1 kwietnia r. b. Bliższych szczegółów udziela Tow. artystyczne.

Sprawy ekonomiczne. W *Gaz. Pols.* czytamy: Od paru tygodni kredyt kupiecki w Warszawie przeżywa ciężkie chwile. W instytucyach kredytowych operacye dyskontowe skurczyły się niesłychanie, gdyż gotowizna w kasach rezerwowana jest na zwroty kapitałów, złożonych za wypowiedzeniem krótkoterminowem. Drobni kapitaliści nie przestają wycofywać gotowizny. Jednocześnie poważniejsze banki prywatne kredyt ograniczyły instytucyom pomniejszym znacznie. Wszystko to nader ujemnie wpływa na przebieg interesów drobnego przemysłu i rzemiosł.

— *Warsz. Dn.* donosi, że do Warszawy przybyło sporo kupców z gubernij wewnętrznych Cesarstwa, w celu zrzeczenia się poczynionych w swoim czasie zamówień, których, skutkiem wypadków na Dalekim Wschodzie i niepewności konjunktur handlowych, przyjąćby obecnie nie mogli. Dużo zamówień cofnięto szewcom hurtowym warszawskim, którzy, mając obecnie na składzie zapas butów z cholewami, zwrócili się do intendentury wojskowej z propozycyą nabycia ich na potrzeby armii.

— W roku ubiegłym rozparcelowano w Królestwie Polskiem 189 majątków ziemskich, które nabyli drobni rolnicy przy pomocy Banku włościańskiego. Od czasu zaś istnienia tej instytucyi, tj. w ciągu 10 lat, sprzedano drogą parcelacyi 1,223 posiadłości większych, obciążonych pożyczką Tow. kred. ziemsk. na ogólną sumę 12,987,000 rb.

— We wsi Konary, pow. Jędrzejowskim, zawiązała się spółka włościańska.

— Skutkiem uchwały ministeryum skarbu, aby w r. b. zabronić budowy kolei z kapitałów obligacyjnych, gwarantowanych przez rząd, wszystkie wydane w końcu r. b. koncesye na wypuszczenie obligacyj cofnięto. Co się zaś tyczy dalszej budowy już rozpoczętych kolei skarbowych, roboty w tej mierze, wobec zaangażowania skarbu państwa w wypadki na Dalekim Wschodzie, ministeryum postanowiło znacznie ograniczyć. (*Kur. Warsz.*).

— W Poniewieżu gub. Kowieńska) odbędzie się d. 23 i 24 maja r. b. wystawa rolnicza, która składać się będzie z następujących 10 działów: 1) konie; 2) bydło; 3) hodowla drobnego inwentarza i ptactwa; 4) produkty gospodarstwa rolnego; 5) gospodarstwo mleczne; 6) maszyny i narzędzia rolnicze; 7) przemysł rolny i drobny; 8) leśnictwo i myśliwstwo; 9) przedmioty, mające związek z gospodarstwem rolnem, wreszcie 10) przedmioty po za konkursem. Na wystawę przyjmowane będą eksponaty, pochodzące ze wszystkich gub. Cesarstwa, z Król. Polskiego oraz z zagranicy.

— Według obliczenia Mr. Robertsa, dyrektora mennicy waszyngtońskiej, w roku ubiegłym Francya miała złota monetarnego za 947 mil. dolarów, Niemcy 762, Rosya 747, Anglia 528, Austro-Węgry 283, Włochy 101, Hiszpania 79, Szwajcarya 30, Belgia 19½, Holandya 58½, Dania 15½, Szwecya 17, Rumunia 9½, Norwegia 8, Portugalia 5, Serbia 1,4, Bułgarya 1,4, Grecya 0,5 mil.) dolarów. Ogółem zapasy złota państw europejskich wynosiły 3,176 mil. dolarów, w Stanach Zjednoczonych 1,277,382,651 dolarów. Na całej zaś kuli ziemskiej, oprócz Europy i Ameryki Północnej znajduje się jeszcze złota za 479 mil. dolarów.

Koleje i komunikacye. Na kolei Warsz.-Wiedeńskiej prócz istniejącego już dodatku 33% do ceny biletu zwykłego na pociągi pośpieszne, obciążono podwyżką 50% bilety zwykłe na expressy. Podróżni w komunikacyi bezpośredniej, zaopatrzeni w bilety odpowiednie, w razie korzystania na linii Wiedeńskiej z expressu obowiązani są dokupywać wyżej wymienione bilety, płacąc jednak tylko różnicę ceny pomiędzy biletami dodatkowymi na kuryery, a takimiż na expressy, czyli 17% ceny biletu normalnego, tj. 1 rb. 70 kop. na przestrzeni Warszawa-Granica, i 1 rb. kop. 40 na przestrzeni Warszawa-Aleksandrów. Pasażerowie, wykupujący bilety dodatkowe na expressy w komunikacyi wewnętrznej, obowiązani są zaopatrzyć się po za tem w bilet dodatkowy w cenie 50% wartości zwyczajnego.

— Od 28 marca r. b. na wszystkich kolejach wprowadzona będzie zniżona o 15% taryfa przewozowa dla włościan, udających się zbiorowo na roboty. Przewóz odbywać się będzie w przystawianych do pociągów osobowych wagonach towarowych, zaopatrzonych w ławki.

OFIARY.

Na powodzian. P. E. Puciata z Hre...nówki rb. 15.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

[illegible] Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.